Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 6 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z krainy lotów.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Zrywanie się do lotu. — Skrzydła. — Budowa kości ptaków. — Oddech w rozrzedzonej atmosferze. — Wpływy wiatru. — Zataczanie kół. — Wywracanie koziołków. — Wzlot pionowy. — Zawisanie w powietrzu. — Dźwiganie ciężarów. — Szybkość lotu. — Pierzenie. — Grupy ptactwa łowieckiego według lotu i wagi ciała. — Lot postępowy. — Szybkość wachlowania. — Zapadanie.

II.

Możność wzlecenia ptaków ciężkich a krótkoskrzydłych starano sobie w rozmaity sposób wytłumaczyć, wreszcie pomiędzy innemi uchwycono się rozpaczliwej myśli, iż w odmiennej pod względem anatomicznym budowie kości i organów respiracyjnych znaleść chciano klucz do rozwiązania zagadki.

Bezsprzecznie przedstawiają kości ptaka wielkie w budowie różnice w porównaniu z kośćmi zwierząt ssących; są to, a osobliwie kości skrzydeł, rury powietrzem wypełnione i organicznie z przyrządem oddechowym połączone, nie zawierają zatem tego balastu, jakim jest szpik w kościach zwierząt ssących. Bezsprzecznie znachodzą się i w innych rozmaitych miejscach ciała ptasiego przestwory powietrzne, również połączone z odrębnie umieszczonemi i w klatce piersiowej nie wiszącemi, ale silnie przyczepionemi płucami — jednak to wszystko po ścisłem obliczeniu możliwego wpływu, jaki tak odrębna budowa na mechanikę lotu wywrzeć może, skoro ogrzeje się zawarte w ciele powietrze do ustrojowej ciepłoty ptaka, nie wystarcza w żaden sposób do wytłumaczenia widzianych objawów. Wszak wszelkie gazy dopiero przy 100° C. rozszerzają się o $^1/_3$ swej pierwotnej objętości, a dopiero przy 273° C. zajmują podwójną objętość. Nadzwyczaj przeto mały wpływ mogłoby wywierać na lot powietrze, wewnątrz ciała ogrzane do ciepłoty organicznej.

Jednak wszystko to, niemniej i okoliczność, że u ptaków wcale nielatających znajdują się również podobne urządzenia ustrojowe, i że niektóre ssaki doskonale latają bez takiej organizacyi — nie zdołali długi czas wyrugować przesadnych wyobrażeń o znaczeniu tej właściwej tylko ptakom organizacyi dla lotu. Mówię „przesadnych“, bo niemożna znów odmówić urządzaniu temu wszelkiego znaczenia dla

praktyki lotu, pomimo, że służy ono zapewne głównie do zapasowego oddechu, jaki w sposobie życia niektórych ptaków szczególniej okazuje się potrzebnym. Jeżeli ptak wydmie wszystkie przestwory rozcieńczonem powietrzem, jeżeli nastroszy pierze za pomocą nadzwyczaj subtelnej muskulatury podskórnej (u kaczki naliczono 12.000 muskułów służących do nastroszania pierza) — to powiększa o wiele objętość ciała, a tem samem zniża jego ciężar, i w ten sposób istota ta, dla powietrza stworzona i powietrzem przenikniona, będzie niezawodnie zdolniejszą do pokonania trudności lotu, zmieniwszy zewnętrzny wygląd częstokroć tak, że myli nawet oko myśliwego.

Nie potrzebuję sięgać daleko, bo dosyć przypatrzyć się wróblowi w skwarnym dniu letnim i porównać jego kształty z temi, w jakich się nam w mroźnym dniu zimowym przedstawia. Wszak to prawie nie ta sama ptaszyna. Sczezły gdzieś zgrabne linie ciała, główka się wciągnęła jakby szyi nie było, całe ciało niby kulka pierza na mało co widocznych nóżkach, z której sterczy z jednej strony koniec dzióbka, z drugiej ogonek, a wśród tej idealnej pierzynki tętni życie, utrzymuje się stała ciepłota ciała, ptaszek jest w dobrym humorze, byle mu tylko nie brakło materyału do podtrzymania życia.

Myśliwi a za nimi i pewna część ornitologów rozróżniają dwie odmiany słonek. Odmiany te mają się głównie różnić wielkością, a mianowicie wielkością głowy. Otóż ułuda ta może trwać dopóty, dopóki ptaka nie mamy w ręku, póki widzimy go w locie, gdzie tylko ogólne kontury się rysują. Najlepszy zmysł spostrzegawczy nie będzie w stanie przy bliższem badaniu odkryć w nieżywym już ptaku, u którego nastroszone za życia pierze do normalnego przyszło układu, jakichkolwiek wybitniejszych cech charakterystycznych, któreby uprawniały do uznania odmiany w znaczeniu ornitologicznem. I tu więc jest tylko momentalna zmiana w skutek odmiennych warunków lotu.

Zmienny stan atmosfery oddziaływa rozmaicie na cały ród ptasi, odczuwający w skutek wyjątkowej swej organizacyi nawet najsubtelniejsze jej wpływy. Stąd też od wieków świat ten istot skrzydlatych był znachorem zmian meteorologicznych u wszystkich narodów, a jeżeli z upadkiem dawnych wierzeń w szalbiercze augurów machinacye rozwiało się i przesadne wyobrażenie o znaczeniu rozmaitych objawów w locie ptaków, to pozostała niezbita prawda, że kierunek, sposób lotu, i w ogóle całe zachowanie się ptactwa w locie są cenną wkazówką dla uważnego badacza, są proroczem słowem natury dla tych wszystkich, dla których nieprzystępne są inne środki wiedzy prócz bacznego wpatrywania się w przyrodę.

Nadzwyczajny rozwój przestworów powietrznych w ciele ptaków wodnych, każe się domyślać, iż organizacya ta potrzebną jest szczególnie w stosunkach, w jakich ptactwo to przebywa, a więc ułatwia pływanie, przyczynia się do utrzymania ustrojowej ciepłoty i umożliwia przebywanie dłuższy czas pod wodą. Utrzymywał to już w zeszłem stuleciu John Hunter, a z nowszych powtórzyli to samo Drosier z Cambridge, Pettigrew i wielu innych. Lecz pocóż to urządzenie organiczne u innych ptaków?

W sferach, gdzie nasze płuca odmówiłyby posługi, skąd spadłby człowiek niby kula na ziemię, buja ptak, oddycha, bo zaczerpnął powietrza na zapas, bo w rozrzedzonem powietrzu może nagrodzić ilością jakość powietrza i w ten sposób wyrównać organiczną potrzebę tlenu, utrzymać wśród mroźnych sfer niezbędną ciepłotę ciała.

Nieraz w latach młodszych, gdy ugrzązłem w zimnem bagnie, gdy paliło się w głowie a sztywniały członki w zimnym żywiole, gdy chorobliwa w tej chwili wyobraźnia widziała już nadpływającą łódkę Charona — nurzał się równocześnie perkoz i ciepło mu przytem było, a ciepłota jego organiczna utrzymywała się na 42° C. W tej samej chwili w podgórskim jakimś potoku nurzał się niezawodnie pluszcz korduszek (*Cinclus aquaticus*), niewielki ptaszek i nieodłączny towarzysz górskich potoków, niezbędny sztafaż jazów, śluz, łotoków. Biegał on jak biegali jego ojcowie po dnie potoku, przepatrując każdy kamyczek, każdą szczelinę dna, i podwodną tę wycieczkę odbywał częstokroć w długości 20 metr. I on czerpał skądeś potrzebne powietrze i ciepłotę.

Niby szare plamki zataczają swe koła w wielkich wyżynach ptaki drapieżne, bociany i t. p. wreszcie i te plamki rozpływają się dla naszego oka w błękicie nieba, a tylko donośny głos niektórych gatunków dolatuje ucha z tych niedoścignionych dla oka wyżyn, i wieści, że tam, wśród szafirów zenitu, utonął jakiś twór w przestrzeni, że jeszcze i tam rozrzedzone powietrze nie kładzie kresu dalszej w górę wędrówce, nie niweczy warunków życia.

Ale gdzież się kończą dziedziny państwa ptasiego? gdzie ustają warunki atmosferyczne, niezbędne do oddechu? U człowieka pozostaje zawartość tlenu w krwi taż sama, przy zniżeniu się i do połowy ciśnienia atmosferycznego, a polega to na własnościach hemoglobiny, składnika krwi, który zdolnym jest nawet w tak bardzo rozcieńczonej atmosferze przyswoić sobie potrzebną ilość tlenu. Według bardzo dokładnych doświadczeń Loewy'ego, w pneumatycznym rezerwoarze organizm ludzki znosi tem większe rozcieńczenie powietrza, im wolniej i dłużej do tego nawyka, tak, iż gdy w 10 minutach zniósł rozcieńczenie odpowiadające 1.958 metrom wzniesienia, w 30 minutach znieść może atmosferę, odpowiadającą wzniesieniu 4.972 metr. (*Die Natur* 1893. S. 47). Pewien czas zatem, w którym organizm nawyka do zmieniającego się otoczenia, jest warunkiem koniecznym, a ptak osiąga to zataczaniem kół w liniach spiralnych i wznosi się coraz to wyżej, tak, iż w obec korzystnej dla rozrzedzonego powietrza organizacyi, znajduje dalekowidz krążące ptaki w regionach, gdzie już niema warunków dla egzystencyi człowieka.

O ile odmienna nieco organizacya, o której tutaj wspomniałem, jest dla ptaka niezbędnym życiowym warunkiem w stosunkach, w jakich on się częstokroć znachodzi, o tyle nie wywiera ona wielkiego wpływu na zdolność lotu. Głównemi sprężynami w tej przedziwnej mechanice pozostaną zawsze te części zewnętrznej budowy, które widzimy w czynności u każdego lecącego ptaka, a których on umie z mistrzowską pewnością użyć i wyzyskać niemi na rzecz lotu zmienny stan atmosfery. To też nietylko u rozmaitych gatunków ptactwa, ale u jednej i tej samej odmiany, lub gatunku, odróżnić się daje w rozmaitych stosunkach atmosfery również i lot rozmaity, nie mówiąc już nic o tej rozmaitości charakterystyki lotu, jaka się okazuje w rozmaitych warunkach życia gatunku.

Oprócz praw mechanicznych, składa ptak latający dowód zręczności, będącej wynikiem ćwiczenia. Jednem słowem do lotu nie wystarcza jeszcze skrzydło, nie wystarcza motor silnej muskulatury, nie wystarcza całe do tego celu zastosowane ciało ptaka, — potrzeba tam jeszcze sztuki użycia skrzydła, którą ptak doświadczeniem nabywa. Jako dowód niechaj tu służą niendolne próby lotu zupełnie już

wykształconych ale młodych, niedoświadczonych ptaków. Niemniej ustaje możność lotu u tych gatunków, które pozostając w stanie udomowienia, nie mają potrzeby wykonywania tego ruchu. Wszak naszym kurom nie brakuje bynajmniej czegokolwiek w budowie anatomicznej, a jednak ustaje tam albo zupełnie możność lotu, albo jest on do najwyższego stopnia niedołężnym. Potwierdza się zatem i tutaj, że ćwiczenie urabia mistrza.

Zanim ptak młody osiągnie ten stopień doskonałości w locie, który jedynie umożliwia mu ciężką o byt walkę, jest pupilem rodziców, pomimo pozornego zupełnego wykształcenia fizycznego. To też widzimy w codziennem życiu myśliwskiem u bardzo wielu w oko wpadających gatunków, jak dorosła młodzież pod okiem rodziców odbywa stopniową szkołę lotu, i dopiero po złożeniu matury w tym kierunku, staje się pełnoletnią i odłącza się od rodziców. W regionach, do których częstokroć już i oko nie sięga, rodziny orłów, jatrzębi i w. i. odbywają przedziwne ewolucye lotu; głosy jedynie wieszczą, że i tam zdaje ostateczny egzamin ptasie pokolenie. Zabrzmią jeszcze raz potężne głosy — zabrzmią po raz ostatni, — para starych powraca do swych pieleszy, ale młodzież uleciała nowych szukać krain. Może się zejdzie kiedyś ta rodzina, może sprowadzi ją w jedno miejsce jakiś ponętny kąsek, i zawrze wtedy dzika o byt walka, nie rozjaśni ciemnej karty życia promień uczucia i wdzięcznej pamięci.

Jeden i ten sam ptak, uważany wśród spokojnej atmosfery, przedstawi się nieco inaczej, niż wtedy, gdy ma walczyć z prądami powietrza. Tu tylko zręczne użycie przyrządów lotowych dozwala zapanować nad zmiennym żywiołem, tylko z zupełną świadomością rzeczy kierowany i do stosunków otaczających zastósowany, nadzwyczaj ruchliwy i podatny mechanizm może wyzyskać dla celów swych właśnie to, co nam największą przeszkodą się wydaje.

Kszyk w wietrznej porze z wiatrem zerwać się nie umie, bo wiatr działając na skrzydła rozpuszczone, przydusza go do ziemi; to też obraca się on głową do wiatru i w tym kierunku zrywa się najłatwiej, a dopiero w pewnej wysokości nad ziemią zwraca się nagle i w prądzie wiatru mknie jak strzała. Zdawać by się mogło, że w tej chwili staje się igraszką żywiołu, że unosi wiatr ptaka, ale gdzie tam! — on wyzyskuje tylko korzystną sytuacyę, a w chwili gdy się stosowne nadarza siadło, raptownym zwrotem spuszcza się ku ziemi.

W obec badań najnowszych, może być mowa tylko o względnej szybkości wiatru w porównaniu z chyżością lotu. Wiatr jako zawsze powolniejszy nie może wywierać szkodliwego działania na lot ptaka z tyłu, ptak lecący odczuwa zawsze prąd powietrza z przodu, a zatem do twierdzeń naiwnych zaliczyć należy zdanie, iż wiatr, wciskając się pomiędzy pióra, utrudnia lot. Z wiatrem lecące ptaki posuwają się zawsze prędzej niż prąd wiatru, a lot ich w takim razie jest sumą dwóch chyżości; jedynie tylko ciało martwe przyjmuje chyżość prądu, w jakim się znajduje. Przeciwnie lot pod wiatr zwalnia się w miarę chyżości przeciwnej siły wiatru, tak, iż przy chyżości lotu 10 metrów na sekundę, a wiatru 6 metr. szybkość lotu pod wiatr będzie różnicą tychże, tj. 4 metry, szybkość zaś lotu z wiatrem sumą obu chyżości, tj. 16 metrów.

Wynika z tego samo przez się, iż przy pewnej fenomenalnej chyżości wiatru, podczas szalejącego orkanu, prześcigającego normalną chyżość lotu, staje się lot fizycznie niemożebnym, a teoretyczne to twierdzenie potwierdza i praktyka. W porze burzliwej niechętnie lata ptactwo, niechętnie się porywa i twardo dosiaduje, a gatunki niedające się podejść w dniu spokojnym, podczas silnych wiatrów dobrze dosiadują. Niezawodnie, że w porze wietrznej i burzliwej ogłusza ptaka szum i czyni go mniej ostrożnym, jednak doświadczyłem niezliczone razy, że nawet po dostrzeżeniu niebezpieczeństwa, odkłada ptak aż do ostatniej chwili zerwanie się z siadła, sądząc, że może ominie go potrzeba lotu w takich niezwykłych okolicznościach, a gdy się wreszcie zerwie, to walka z żywiołem trwa niedługo, ptak oryentuje się szybko w najkorzystniejszych stosunkach atmosfery i wyzyskuje takowe w sposób przedziwny. Zdaje się, że w zwrotach, jakie wśród takich okoliczności wykonuje ptak w locie, ważnym czynnikiem jest oko jego, nadające się swem wewnętrznem urządzeniem do najściślejszej kontroli kierunku i chyżości, tak, iż cel wśród najnieprzyjaźniejszych okoliczności w sposób możliwie najłatwiejszy osiągniętym być może. Bez takiego organu subtelnego praca lotu musiałaby być o wiele uciążliwszą, nie trafiłby odrazu gołąb do małego otworu gołębnika, nie wpadłaby celnie w otwór gniazdka jak strzała lecąca jaskółka, a w reszcie pomyliłby się może kanarek wracając w pokoju w liniach zygzakowych wprost do otwartych drzwiczek swej klatki.

Znaną jest rzeczą, iż ptaki szybko latające, są w locie najwytrzymalsze. Ptak szybkiego lotu wykonuje mniejszą pracę, bo opór powietrza przeciw opadaniu rośnie w miarę zwiększania się chyżości lotu, z czego zarazem wynika, iż największego wysiłku wymagać będzie pionowe wznoszenie się w locie bez równoczesnego ruchu postępowego, i że praca mechaniczna lotu wzrastać musi w miarę, gdy się zwalnia ruch ciała w stosunku do otaczającego powietrza.

Wiele bardzo gatunków ptactwa aż nazbyt udowadniają wypowiedzianą tu prawdę. Wspomnę tu tylko o nieskończenie długich i z niezmierną szybkością wykonywanych lotnych ewolucyach szpaków w jesieni, o niezmordowanym locie gołębi, jaskółek, rybitw i t. p. Niektóre wszakże z naszych większych ptaków, drapieżce, bociany zdają się znów temu wszystkiemu zadawać kłam, zataczając w ruchu bardzo powolnym całemi godzinami t. z. koła, i czyniąc to bez żadnego natężenia, bez widocznego ruchu skrzydeł i ogona. Lot ten krążący wykonuje ptactwo nie w każdym dniu, widocznie zatem, że odgrywają tam wielką rolę zmienne prądy powietrza, ułatwiając lub utrudniając wykonanie tej praktyki. Stąd pochodzi prawdopodobnie, że ptaki w rozmaitych krążą wysokościach, zależnych od obecności owych korzystnych dla krążenia prądów. Nieraz niewysoko po nad ziemią zatacza ptak koła, to się wznosi to znów opada, i powtarza w nieskończoność tę praktykę, w innych zaś okolicznościach śrubuje się krążącym lotem do takich wyżyn, iż znika dla oka i tam dopiero długi czas niemal w jednym poziomie zatacza koła.

W rozprawie mej (Nr. 12. Łowca r. 1893), omawiając specyalnie lot ptaków drapieżnych, podałem teoretyczne prawa krążenia w locie, dlatego nie powtarzając się wspominam tu tylko, iż ruch ten polega w części na anatomicznej budowie, w części zaś na własnościach fizycznych atmosfery. Ruch w zmiennem i nadzwyczaj ruchliwem powietrzu, wymaga nadzwyczaj stałej równowagi w budowie, a ideałem tego jest ciało ptaka w locie. Niby busola okrętowa, zawieszony jest tułów na bardzo ruchomych stawach kulkowych skrzydeł, a główne motory ruchu, największe i najcięższe w ciele muskuły piersiowe poniżej środka ciężkości, warunkują stałą równowagę. Ruchliwe nogi, głowa z szyją, ogon regulują w miarę potrzeby statykę ciała w kierunku podłużnej tegoż

osi, przesuwając w miarę potrzeby środek ciężkości w okolicę ruchomego stawu przedramienia. Ruchliwość nadzwyczajna tych części jest powodem, iż w rozmaitych stosunkach atmosfery i przy rozmaitych zamiarach w locie, ptak najrozmaitsze przedstawia kontury, a gdy się przypatrzymy sylwecie n. p. dzikich kaczek przy zapadaniu, rybitwom w ich lotnych igraszkach i wielu innym najzwyklejszym ptakom, poznać dopiero można jak skomplikowanych ruchów zbiorem jest lot, zdążający do pewnego celu. Najmniejsze zwichnięcie równowagi ciała powoduje kozły w powietrzu.

Niektóre gatunki ptaków wywracają koziołki z zupełną świadomością, pewne odmiany gołębi ściągają głowę w tył, uderzają skrzydłem ku przodowi i przewracają się w tył po kilka razy, podobne igraszki w locie umieją wykonać jastrzębie, rybołówki i kruki. Ptak wywracający koziołki spada niemal w linii pionowej ku ziemi, niby nieżywy, młynkuje w powietrzu, lecz w jednej chwili uzyskuje znów równowagę, okazawszy, ile potrafi zdziałać swą niezrównaną fizyczną organizacyą, w której leży tajemnica lotu.

Ponieważ lot w linii pionowej do najtrudniejszych zadań ptaka się zalicza, kierunek ten rzadko kiedy obiera ptak w locie, nie mówiąc o zrywaniu się w linii pionowej niektórych gatunków, przyczem dopomaga wielce odbicie się od stałej podstawy siadła. U wielu bardzo gatunków lot w linii pionowej jest jak się zdaje fizycznie niemożebny. Znanym jest lot pionowy gołębi w ucieczce przed ptakiem drapieżnym. Jest to jedyny w takim razie skuteczny sposób ocalenia życia, gdyż drapieżce, mimo swego mistrzowskiego lotu, nie mogą tu zdziałać niczego. Gołąb, który raz spróbował tej praktyki, nie obawia się już wcale napadu drapieżnika, gdyż ten jest jedynie panem wszystkiego, co się poniżej niego w powietrzu znajduje. Zwyczajnie, gdy gołąb poczyna się pionowo śrubować w górę, zawiedziony drapieżnik odrzeka się swej ofiary i odlatuje ze wstydem. Gołąb zaś, który umknął, spada po chwili niby meteor, a spotęgowana respiracya, poruszająca całem ciałem, świadczy o wytężeniu, jakiem ptak życie okupił. Gdzież był, do jakich wyżyn zagnała go bojaźń? Dlaczego tak prędko powrócił z niedoścignionych wyżyn? Wiele by o tem było do mówienia. Tu, o trzy metry nad ziemią uścielono mu gniazdo, tu się wychował, z tym gołębnikiem łączą go najpiękniejsza wspomnienia życia, tu go otacza najmilszych współplemieńców gromada, — a jeżeli wpadają od czasu do czasu jastrzębie — no, to tak być musi, tak chcą żelazne prawa natury.

Z piosnką w górę wznosi się skowronek, silnie i szybko wachluje skrzydełkami, a jednak ruch ten nie odbywa się w linii pionowej ale w bardzo stromej linii śrubowej. Patrząc na to małe ptaszę, świdrujące się w coraz to wyższe strefy wśród pozornie ogromnej pracy całego organizmu, wpadł w zachwyt nawet jeden z największych przyrodników, Lineusz; chłodna sonda rozumu wypadła mu z ręki pod wpływem uczucia i piękną była ta chwila serca, gdy wypowiedział: *Alauda ad sidera scandit et in laudem creatoris suum tirile cantat.* Ptaszek, wzbiwszy się w ten sposób do pewnej wysokości, zawisa w powietrzu, a z pod obłoków dolatuje nas wdzięczna jego nuta. Jaki cel ma ta lotna ewolucya? Wszak on żeru nie wypatruje, jak to według naszego mniemania czynią zawisające w powietrzu ptaki drapieżne? Czegoż „garłeczkiem tak wdzięcznie przepieruje“ (jak mówi idylista nasz Szymon Szymonowicz), trzepocząc gwałtownie skrzydełkami? Nie zaprowadzi nas zbyt daleko to pytanie — pozostawmy je przyszłym pokoleniom, a sami zadowolnijmy się odpowiedzią serca: może —

...tam pod niebiosy
Niebieskiej błaga rosy,
Błaga chmury urodzajnej,
Aby rosła niwa, łąka?

Niech tajemnica ta gra na strunach duszy i serca, niech zimny sąd milknie, a dźwięczą idealnego zachwytu pienia, wszak i tak ich niewiele w życiu pozostało...

(Dok. nast.)

Z pamiętników szaraka.

...Najpierwsze wrażenie, które mi w pamięci utkwiło, to było wrażenie zimna. Tuliłem się do matki, zakopywałem się pod miękką jej turzycą, a drżałem. Musiała to być bardzo wczesna wiosna, przymrozki ściskały jeszcze ziemię, czasem i śnieżek popruszył, i nigdy nie mogłem się wygrzać jak należy w promieniach słońca, które często zachodziło chmurami.

A prześliczna była to debra, w którejśmy z matką mieszkali. Miejscami wyłaniały się załomy skał, ukrytych pod ziemią, górą szumiał wysoki, rzadki bór, a ku potokowi rozścielały się gęste zarośla, utworzone z przeróżnych krzaków, które nam dostarczały ochrony i pożywienia. Gdy na gałązkach, nabrzmiewających sokami wiosny i strzelających już młodym liściem, zawisły krople bujnej rosy, a promienie wschodzącego słońca zagrały w nich tysiącem barw — to świat był taki piękny, taki dobry...

Dziwiłem się też, żem widział matkę zawsze czujną, zawsze przerażoną. Czegóż się było obawiać pośród tej smacznej, młodej trawki, która się z ziemi wykluwała, pośród tej ciszy boru, jedynie szumem drzew przerywanej? Było nas czworo młodych, mieliśmy co jeść, kochaliśmy się, bawili wesoło — skądże więc te strachy?

Ach, jakież ze mnie było dziecko! Zbyt wcześnie musiałem się przekonać, że na świecie są powody do strachów i przerażeń!

Pamiętam jak dziś jednę noc, która mi nigdy z pamięci nie wyjdzie. Wiosna już była w całej pełni, księżyc płynął wysoko po bezchmurnem niebie, jasno było jak w dzień. Pożerowawszy, spoczęliśmy z matką pod krzakiem, ja nawet zmrużyłem wytrzeszczaki, gdy wtem zbudził mnie przeraźliwy płacz mego brata, straszny jęk przedśmiertny. Wtuliłem się bardziej pod gałęzie i widzę, jak matka na

około nas biega i jakąś burą bestyę przedniemi skokami bije, prychając rozpaczliwie. Skamieniałem ze strachu. Jęk brata mego zamilkł, a bura bestya, wlokąc się wolno na niskich nogach, odeszła. Matka biegała jeszcze jakiś czas w około, wreszcie legła koło nas zadyszana a drżąca na całem ciele. Gdym się oglądnął, nie było nas już tylko troje Opodal młoda trawka była świeżą krwią sposoczona. Nie wiedziałem podówczas jeszcze, co to śmierć znaczy, ale odczułem instynktownie, że mi brata zamordowano, poczułem strach w sercu i drżenie całej skóry.

Odtąd, przyznaję się, stałem się bojaźliwym i nadzwyczaj czujnym na każdy szelest. A gdy matka przerażona powiedziała nam, że borsuk zagryzł braciszka i zawlókł go do nory, bałem się strasznie borsuków, lisów, psów, orłów, wron i innych zwierząt, o których nam matka najstraszniejsze rzeczy opowiadała.

— Lecz moje dziatki — kończyła matka swą naukę — najbardziej strzeżcie się człowieka. Drapieżne zwierzęta straszne są i nielitościwe, ale nic nie dorówna chytrości i barbarzyństwu człowieka. On wzrokiem swym zabija, z żelaznych kijów groch ołowiany na nas miota, kaleczy i morduje całemi setkami. Gdy głos jego lub trąbkę usłyszycie, uchodźcie daleko.

Podrósłszy, wymykaliśmy się już bez matki do ozimin za żerem, a że przestrogi jej tkwiły nam w pamięci, i za każdym szelestem uciekaliśmy co sił starczyło, więc w końcu takeśmy się pogubili, że już ani z matką ani z rodzeństwem zejść się było niepodobna.

W ten sposób przeszedłem na chleb własny, stałem się panem mej woli i mych czynów.

Pewnego razu siedziałem w żółkniejącem już życie, gdy mnie doszły głosy ludzkie. Nie były one wcale straszne; owszem dźwięczny, młody głosik, jakgdyby rozsiewający perły śmiechu, podobał mi się bardzo, brała mnie nawet wielka pokusa zobaczyć, z jakich ust głos ów wychodzi — ale przestrogi matki odezwały się w pamięci, położyłem tedy słuchy po sobie i począłem czesać co sił starczyło. Zaledwo jednak wybiegłem na drogę, zawołał znany mi już głosik „Zając! zając!“ i zaraz potem jakaś potworna paszcza chwyciła mnie za kark!

— Hektor, co ty robisz? No! — zawołał ten sam głosik z przerażeniem — ale nic to nie pomogło. Paszcza Hektora zamykała się coraz ciaśniej na moim karku, nadaremnie wyrywałem się ze wszystkich sił, czułem, że słabnę, że tchu mi już w piersiach braknie a oczy na wierzch wyłażą.

Byłem pewny, że to już ostatnia moja godzina, gdy wtem odezwały się kroki ciężkie na drodze i głos grubszy męski zawołał:

— Hektor, połóż!

Zdaje się, że był to język psu zrozumiały, bo natychmiast zwolniał uścisk jego szczęk, i zaraz potem dostałem się do rąk człowieka. Byłem na pół zaduszony, ale przypomniawszy sobie opinię matki o człowieku, rzucałem się wściekle, żeby umknąć. Nadaremnie! ręce trzymały mnie mocno, a wkrótce dotknęła mnie jeszcze jedna mała rączka i młody głosik odezwał się z współczuciem:

— Biedny zajączek! Czy żyje? Nic mu nie będzie?

Zdrów jak ryba — odparł młody mężczyzna, który mnie trzymał w rękach. — Może go sobie panna Basia wziąć do domu.

Dziewczę klasnęło w ręce i nadstawiło fartuszek. Tak więc zawinięty w delikatny perkalik i przyciśnięty rączkami do piersi, stałem się więźniem panny Basi.

Nie powiem, ażeby ten początek niewoli był mi bardzo przykrym. Ciepło mi było i miękko, a do wtóru z mojem przestraszonem sercem słyszałem stłumione a szybkie pukanie i głos, siejący bezustannie perełkami śmiechu.

— No, panie Józefie, niewolno! — zawołała Basia, gdy swawolny chłopiec chciał mnie u łona jej dotknąć i pogłaskać.

— Ale panna Basia go zadusi, doprawdy że zadusi...

— Niech się pan nie boi! nic mu się nie stanie — i cwałem pobiegła ku domowi.

Gdym się ujrzał między ścianami dworu wiejskiego, lęk mnie wziął nieopisany. Ach, tam nie było zielonej trawki, ani wspaniałych poduszek z mchu, ani tych schnących bróźd, w których się do słońca tak pysznie wylęgać można.. Twarde mury, jakieś dywany, na których się skoki plątały, mnóstwo kanciastych nóg, o które się rozbijałem — ach, cóż to za straszna nora, to pomieszkanie człowieka!

Skoro mnie tylko Basia z fartuszka wydobyła, znalazłem się jednym skokiem w najciemniejszym kącie pod łóżkiem. Daremnie stawiała mi miseczkę z mlekiem, daremnie kruszyła bułkę i rzucała listki kapusty — nic tknąłem niczego, choć mi się jeść chciało. Ach, nademną nie szumiała zieleń w ciepłych powiewach lata, podemną nie było tej bujnej ziemi, która pełnem życiem oddycha — otaczało mnie powietrze martwe, zamknięte, przesiąknięte obcemi zapachami — serce mi się ściskało — nie mogłem wyciągnąć skoków i pobujać z rozkoszą po szerokiej niwie — uczułem całą gorycz niewoli.

Przytem obijały się o moje słuchy rozmaite uwagi i sądy, a chcąc mnie ujrzeć, wyszturkiwano mnie patykiem z najciemniejszych kątów, w które się chowałem.

Wysoki, siwy mężczyzna, trzymając w ustach fajkę na długim cybuchu, z której okropne odory się rozchodziły, rzekł:

— A to duży kopyra! Pewnie marczak. Cóż ty z nim będziesz robiła?

— Taż to się nie da utrzymać — skrzeczał stary lokaj, wyglądający z poza ramienia pańskiego — popsuje panience dywany i pogryzie meble; lepiejby go wziąć na pasztet do kuchni.

— Co też ty pleciesz Tomaszu? — odezwał się na to z oburzeniem srebrny głosik Basi — ja sobie go chować będę, i zobaczysz, jaki to będzie grzeczny zajączek.

— Aha, nauczysz kopyrę rozumu! — mruknął pan i machnął pogardliwie ręką.

Ale Basia nie dała się zbić z tropu; pochwyciła mnie przy pomocy starego Tomasza i włożyła mi na szyję niebieską wstążeczkę. Co to miało znaczyć — czy dodawało mi piękności, czy rozumu — nie wiem, ale chętnie przyjąłem tę odznakę, bo pochodziła z jej ręki i znowu czemprędzej schowałem się w najciemniejszy kąt pod łóżkiem.

I kto wie, idąc za łagodnym głosem mej pani i za nieprzezwyciężoną potęgą jej wzroku, który mnie do siebie przykuwał, byłbym może nabrał rozumu i zczłowieczał, gdyby nie straszna, czarna postać Hektora, który od czasu do czasu zakradał się do pokoju, a podniósłszy jedną łapę, wpatrywał się we mnie z wyrazem takiej nienasyconej krwiożerczości, żem truchlał na całem ciele i szalona bojaźń wracała do mego serca.

Na noc wyprowadzono mnie do garderóbki, gdzie prócz kufrów i szaf nic więcej nie stało. Tu panowała zaducha i jakaś dławiąca woń futer, która mi spocząć nie dała. Ach, gdyby choć na chwilę wydobyć się na świat boży i odetchnąć

świeżem powietrzem! A tu nigdzie ani szczelinki, którędyby się można przecisnąć. Począłem więc bić z rozpaczy przedniemi skokami o ściany i meble w nadziei, że budę tę rozwalę — ale nadaremnie. Poobdrapywałem tylko politurę, poobgryzałem forniry, ale wydobyć się nie mogłem, i zamiast wycieczek po lesie, przesiedziałem nie zmrużywszy oka w tej okropnej dziurze.

Nad ranem uczułem głód dokuczliwy, a że było cicho w około, więc skorzystałem z mleka i zwiędłych liści kapusty, które mi pani moja pozostawiła, i tak zagłuszyłem głód i pragnienie.

Nie wiem, czy Basia w myślach moich czytała, czy odgadła to po rozpaczliwych bębnieniach nocnych, dość, że nazajutrz uznała za potrzebne, ażeby mnie trochę po powietrzu przeprowadzić, i przywiązawszy taśmę do mej błękitnej krawatki, wyruszyła ze mną i z panem Józefem w pole

Cóż to była za rozkosz, gdym ujrzał słońce i zaciągnął się balsamicznem powietrzem lata! Rzuciłem się, aby dać *fugas chrustas*, lecz niebieska wstążka szyję mi zacisnęła, przewróciłem się na wznak i przypomniałem sobie, żem niewolnik. Kilkakrotne dalsze próby ucieczki także się na nic nie przydały. Podskakiwałem tedy, jak mi tasiemka pozwalała i musiałem się przynajmniej tem zadowolnić, żem łyknął świeżego powietrza.

Odtąd powtarzały się codzień te spacery, a zawsze z Basią i zawsze w towarzystwie p. Józefa. Szliśmy w głąb ogrodu, w cieniste rondo lip, gdzie były ławeczki a w około bujna wonna trawa. Tu pasła mnie zrazu Basia, przygadując pieszczotliwie i zajmując się mną prawie wyłącznie. Lecz nie długo to trwało. Po kilku spacerach przywiązywano mnie do lipy i pozwalano robić, co mi się podoba, tak, że nieraz, zapominając niewoli, kładłem słuchy po sobie i wysypiałem się w najlepsze. Basia tymczasem siadała na ławeczce, a pan Józef koło niej, i ręka w rękę mieli sobie zawsze bardzo wiele do opowiadania. On podnosił czasem jej rękę do ust, a ona oblewała się rumieńcem, i nietylko o mnie, ale o całym bożym świecie zapominali.

I wtedy, chociaż zajęczym rozumem, począłem pojmować, jak wielką jest chytrość człowieka, jak umie używać pozorów, ażeby ukryć myśl właściwą. Oni to niby dla mnie na spacer wychodzili, a dbali o mnie jak pies o piątą nogę, szukali tylko samotnej ławeczki i długich rozmów ze sobą, a ja byłem niewinną pokrywką tego romansu.

O, ludzie! o, kobiety!

Nareszcie musiała i matka Basi przeniknąć tę chytrość zakochanych, gdyż pewnego razu oświadczyła, że „ma już dosyć tego zająca“.

— Trudno z nim już wytrzymać! — mówiła — poobgryzał drzwi i szafy, bębni całemi nocami, robi nieporządek, fetor (o Boże, fetor! a ich tytonie i paczule!), trzeba się go pozbyć...

Struchlałem, słysząc te słowa. A więc miałem być niewinną ofiarą młodzieńczych amorów! Lecz cóż ze mną zrobią? Czy może dadzą Hektorowi rozedrzeć, czy pójdę wprost pod nóż kucharza i na rożen?

Nie — zlitował się nademną myśliwy, pan domu. Zbliżając się ze swoją nierozłączną, okropną fajką, rzekł:

— Wiecie co? Wyhodujemy sobie tego kopyrę, (nie wiem, dlaczego mnie zawsze „kopyrą“ nazywał; było to widocznie jakieś obelżywe przezwisko). On zginąłby i tak tutaj, bez ruchu i powietrza (Święta prawda!) Trzeba go puścić do lasu (o Boże!), ale żebyśmy wiedzieli z kim mamy do czynienia, naznaczymy go wprzódy.

Rzekłszy to pan domu, wziął małą blaszkę mosiężną na druciku, zbliżył się ku mnie i chwycił mnie za słuch. Szarpnąłem się gwałtownie, nie wiedząc co ze mną chce zrobić, lecz wtem uczułem bolesne ukłucie w słuchu. Ten stary barbarzyńca przebił mi ucho drutem i zakręcał końce jego starannie.

— A widzisz co tu jest wybite na blaszce? — zapytał pan domu zwracając się do córki — oto czytaj: „Basia, roku 1878“. Pod twoim sztandarem, jako swej wychowawczyni i opiekunki, pójdzie kopyra w las. Niech się wykręca przed naszemi dubeltówkami jak umie; zobaczymy ile latek pożyje.

Basia z pewnym żalem pocałowała mnie w głowę, zdjęła mi z szyi niebieską wstążkę i nastąpiła gremialna wyprawa na łączkę pod lasem.

Już nie byłem na tasiemce; krwawiło mi się tylko ucho i czułem na niem małą blaszkę, ale ból ten niknął w obec nadziei, że znów się wolnym uczuję śród niw i borów.

A prześliczna zbliżała się jesień. Zboża leżały już na pokosach lub w półkopkach, sierpniowe słońce dozłacało je jeszcze i dosuszało, wszędzie pokarmu w bród, na krzewach rozliczne jagody, pod krzakami grzyby, trawy osypywały się dojrzewającem ziarnem — patrzyłem tylko z pod oka, jaka to będzie rozkosz dorwać się tego zastawionego stołu. Zdala z nad potoku wabiły jeszcze zielone zagony kapusty...

— No, pójdziesz w świat — rzekł w tej chwili pan Józef stawiając mnie na ziemi — ruszaj a żywo! — zawołał i dał mi potężnego klapsa...

Jakem nie dał susa! O Boże, jeszczem nigdy takich skoków nie robił. A nie chciałem sam wierzyć, że nie mam już okropnej tasiemki na szyi. Posunąłem też jak z procy wprost do lasu, a za mną zabrzmiał dźwięczny głosik:

— Bądź zdrów zajączku! (Dokończ. nast.)

Jamnik, jego tresura i pożyteczność.

W rzędzie psów do łowów używanych pierwszeństwo po wyżle należy się jamnikowi. Obie te rasy, aczkolwiek tak od siebie odmienne, obdarzyła natura wspólnemi zaletami pojętności i wybornego węchu. Zalety te przodują u tych dwóch ras przed innemi. Zarówno wyżeł jak i jamnik posiadają też najwięcej psiej inteligencyi, i dlatego wymagają obchodzenia łagodnego, a obcowanie z ludźmi jest dla nich niezbędnym warunkiem. Kto tego warunku wyżłowi i jamnikowi odmówi, kto ich trzyma z dala od siebie, a tylko w czasie polowania się z niemi spotyka — ten ani wyżła ani

jamnika dobrego mieć nie będzie. Powtarzam, że tylko łagodne obchodzenie i częste z psem obcowanie robi psa prawdziwie użytecznym.

Zastanowienia godnem jest, jak na obydwie te rasy psów powyższe warunki dodatni wpływ wywierają. Z wyżłem i jamnikiem porozumieć się można nie tylko skinieniem, ale nawet wzrokiem. Jamnik w domu jest łagodny, zdaje się nie mieć temperamentu psa myśliwskiego i nie budzi wiary w swą użyteczność, ale skoro się znajdzie w polu, wie o tem bardzo dobrze, że powinnością jego jest walczyć ząb za ząb, znosić cięcia od swego przeciwnika i wymierzać ciosy równie, a nawet bardziej bolesne.

Jeżeli mamy wyżła albo jamnika złego, mniej albo wcale nieużytecznego, to przyczyną tego jesteśmy zazwyczaj sami, bośmy psa zaniedbali. Wyżeł, choćby najlepiej tresowany, dostawszy się w ręce niepowołane, zmarnieje na psa nieużytecznego, przeciwnie zaś, choćby mniej a nawet mało był tresowany, jeżeli przejdzie w lepsze ręce i nie będzie zaniedbywanym, wyrobi się na psa wcale użytecznego. Tak samo i jamnik.

Widziałem jamniki z jednego pomiotu ale w innem posiadaniu — i oto jedne były psy znakomite, bo właściciel ich lubił i niemi się zajmywał, drugie zaś znaczyły tylko łydki przychodniów, były nieznośnemi i niedobremi psiskami, kijem trudno było się im obronić, a nie wytrzymywały najsłabszego cięcia lisa albo borsuka, i ażeby się na takowe nie narazić, poszczekiwały w jamie, to prawda, ale z taką przezornością, że nawet z ogonem w jamę się nie chowały — słowem, były to psy nieużyteczne, bo zaniedbane.

Znam pięć odmian jamników a mianowicie: czarne, żółto-podżare, żółte małe, żółte większe, trzykolorowe srokacze i czarno - żółte podżare o krótkim włosie a uszach długich, prześlicznie gufrowanym włosem porosłych.

Jak wyżeł, tak też i jamnik, ażeby być w całem słowa tego znaczeniu użytecznym, musi być po pierwsze: czystorasowy, a powtóre, dobrze tresowany.

Tresura jamnika dzieli się na pokojową i polową równie jak i wyżła, z tą różnicą, że wyżeł nadaje się do tresury bardzo dobrze dopiero po roku swego życia, podczas gdy z tresurą jamnika jak najwcześniej zaczynać należy. Znam myśliwych, którzy miewali znakomite wyżły, i nigdy wyżła mniej jak rocznego do tresury nie brali, twierdząc stanowczo, że wyżeł do roku powinien tyle posiadać, ażeby wiedział jak się nazywa. Nie mogę zaprzeczać temu twierdzeniu, gdyż tresowane w tym wieku psy widziałem faktycznie znakomite. Nie mogę wszakże twierdzić z całą stanowczością, aby i wyżły w młodszym wieku tresowane nie miały być dobre, sam bowiem po stracie starego psa dostałem szczenię, i tak je prowadziłem, że w szóstym miesiącu posiadało już kompletną tresurę pokojową, a w siódmym robiło mi to psię usługi na błotach i suchem polu ku zupełnemu memu zadowoleniu, w starszym zaś wieku był z niego pies znakomity, którego zalety uznawało całe znajome mi kółko myśliwych.

Widziałem także wyżła starego, „Becha“, który pełnił służbę stróża domowego i jako taki noc miał wolną a całemi dniami stał uwiązany na łańcuchu, że jednak nietylko fałatał żydowskie chałaty, do których czuł wielką antypatyę, ale i każdego przechodnia turbował, przez przeciąg lat sześciu co dzień na łańcuchu musiał być trzymanym. Wreszcie zaświeciła i dla biednego „Becha“ gwiazda lepszej przyszłości. Zajęto się biednym skazańcem, obłaskawiono go, uwolniono z łańcucha, zajęto się nim szczerze i użyto do polowania. Stary „Becho“ wystawiał tedy i aportował zwierzynę, słowem, wyrobił się na więcej niż dobrego psa myśliwskiego, a sztuki tej z „Bechem“ dokazała kobieta.

Wypadki te przekonały mnie, że wyżeł jako szczenię i jako pies wyrosły, a nawet w starszej życia dobie, do tresury się nadaje.

Inaczej sprawa ta przedstawia się z jamnikami. — Powołując się tu na własne doświadczenia twierdzę stanowczo, że jamnik, ażeby był dobrym, najwyżej do roku życia swego musi być kompletnie tak z tresurą pokojową jako też polową gotowym, a kto zaniedba jamnika w tym wieku, nie będzie miał z niego pociechy.

Niema stworzenia, któreby do racyonalnego wytępienia zwierzyny szkodliwej czworonożnej tak się użyć dało jak jamnik. To też w tym celu jamniki powinny być trzymane i tresowane.

Przy tresurze pokojowej powinien jamnik poznać te zwierzęta, które ma prześladować i każde z nich, większe czy mniejsze, musi nieraz pokonać, przyzwyczajając się do ich obrony i cięć. W tym celu wszelką zwierzynę, na którą jamniki mają być użyte, jak lisy, borsuki, tchórze, kuny, trzeba mu dostarczać żywe. Lisy i borsuki w tym celu dostaje się z jam, kuny z dziupeł drzew, a tchórze, jak się uda, bądź wykopuję, bądź łapię w kupach gałęzi lub sagach.

Najpierw dostarczyć jamnikom potrzeba mniejszej zwierzyny, a najlepiej ku temu nadaje się kuna. Tchórza radzę podawać psom dopiero wtenczas, gdy są dobrze ułożone, i wiedzą o co chodzi, a nigdy w budynku, tylko na dworze. Lecz i wtedy radzę oddalić się jak najbardziej od walki, bo gdy tchórza psy dopadną, wydaje z siebie dla obrony tak cuchnący wiatr, że bez przesady mówiąc, zawrotu głowy się dostaje.

W braku kuny, dostarczam jamnikom do pierwszych zapasów młodego, na pół wyrosłego lisa, który już bronić się i ciąć doskonale potrafi. Dostawszy kunę albo młodego lisa, wpuszczam go do próżnego budynku, ile możności obszernego i wprowadzam młode jamniki 6-do 8-miesięczne, z jednym starym dobrym psem. Starego psa jednak trzymam na ręku, a młode podniecając zaprawiam do walki. Pies stary trzymany na ręku szczeka, wydziera się z rąk i tem właśnie dodaje animuszu młodym frycom.

Najlepiej jest pierwszy raz podać młodym pieskom kunę, nie dlatego jednak, że ta nie potrafi się psom bronić. Kuna, pomimo że tak mała, bardzo jest cięta, ale swemi drobnemi zębami nie zadaje bardzo głębokich ran, tnie wszakże o wiele więcej niż lis. Osaczona w kącie nie znosi długo naszczekiwaniu psów, rusza z miejsca, goni po budynku, wyskakuje na ścianę, stara się ujść — wskutek czego pieski nabierają odwagi, gonią za nią, tu i owdzie dopadną, lecz starcia długo nie wytrzymują: ten dostał po nosie, drugi po wardze, i kuna wolna znowu ucieka. Dopiero po kilkorazowem starciu sie piesków z kuną, puszczam im na pomoc starego psa. Gon na nowo ożywiony trwa już nie długo, stary majster wnet dopada nieprzyjaciela, psy młode nabierają odwagi i chwytają kunę gdzie który dopaść może, a chociaż stary pies zawsze ujmie kunę za kark, niejedno jeszcze cięcie dostanie się psom młodym. Cięcia te pod koniec są najdotkliwsze, kuna chwyta psa gdzie może i konwulsyjnie go gryzie. Zdarzało mi się, że chcąc uwolnić psa od takiego ugryzienia, musiałem kunie, dającej tylko słabe znaki życia, kijem zęby rozważać. Psy widząc kunę pokonaną, nieżywą, zapominają o bolu doznanym, nabierają odwagi i zapamiętałości, i jakgdyby z chęcią

zemsty za otrzymane razy, rzucają się przy najbliższej sposobności na kunę. Przy pierwszem wprawianiu, powinny pieski koniecznie doznać cięć i nie radzę podawać im zwierzę zbyt młode, lub takie, któreby nie zdołało się bronić. Kunę, choć już nieżywa, nie odbieram psom, zostawiam im wszelką swobodę a nawet podniecam do dalszego wywierania zemsty na pokonanym wrogu.

Po pierwszej takiej tresurze młode pieski są już podmajstrzymi, i ma się pewność, że każdą kunę bez pomocy starego majstra wezmą. Trzeba im teraz dostarczyć zwierzę silniejsze, a tu znowu nie ma nic stosowniejszego nad lisa półwyrosłego. W ten sam sposób wprowadzam znowu pieski młode. Mykita, zawarowawszy w kącie, broni przystępu do siebie. Jeżeli potrzeba, zmuszam go do opuszczenia obronnej pozycyi za pomocą starego psa i wnet uwija się po budynku. Ponowne osadzenie się w kącie na nic się już nie przydaje, bo stary majster idzie na niego „jak w dym“ i po kilku zamienionych cięciach trzyma go już za kark, a w tej chwili wszystkie psy i lis tworzą jeden nieprzerwany kłębek. Nie obejdzie się bez tego, że przy tem borykaniu każdy pies oberwie porządne cięcie od lisa, czasami nawet niebezpieczne, nic to jednak nie szkodzi, owszem, staje się podnietą do wiecznej zemsty u ciętego jamnika.

Po mykicie podaję pieskom borsuka, jednak nigdy starego tylko młodego. Tu już i stare psy nie dadzą częstokroć rady i po dłuższem szamotaniu się, kładąc tamę zajadłej walce, uderzeniem borsuka po nosie przychodzę psom w pomoc. Własnemi siłami i starym jamnikom borsuka pokonać trudno; rwą, tłuką, targają na wszystkie strony, a borsuk, znany z żelaznej wytrzymałości życia, ciągle żyje, tnie i kaleczy.

Na borsuku kończę z psami młodemi całą tresurę domową. Rozumie się samo przez się, że im więcej sztuk żywych psom dostarczyć można, tem korzystniej. Przy takiej tresurze domowej daje się łatwo ocenić i odróżnić dobrego psa od mniej dobrego, choć w ogóle psy w ten sposób tresowane rzadko trafiają się mniej dobre, a złego absolutnie nie będzie. Cięty jamnik — a ciętość jest jego właściwą zaletą — dopadłszy i chwyciwszy raz nieprzyjaciela w zęby, nie powinien go puścić dopóki życie w nim czuje. Młode jamniki w ten sposób na wstępie doświadczam: Biorę skórę z lisa, trzymam ją w ręku w przyzwoitej wysokości od ziemi, tak, ażeby pies podskoczywszy, nie mógł jej chwycić, i drażnię psy, które skaczą, gwałtują, ale dorwać się skóry nie mogą. Wtedy wypatruję stosowną chwilkę, zniżam skórę, pozwalając chwycić jamnikowi, którego chcę doświadczyć, a jak tylko pies chwycił, podnoszę go wraz z skórą w górę. Pies cięty nietylko że się nie puści, wisząc nad ziemią, ale można nim w powietrzu, trzymając za skórę, wywijać koła po nad głową, a pies, wpity w skórę, trzymać się jej będzie jak pijawka. Zwykle skóra taka staje się pastwą psów, bo skoro się tylko psa wiszącego spuści na ziemię, wpada na skórę reszta psów, szarpiąc ją na wszystkie strony. Lecz niema co skóry żałować, gdyż ją pieski z czasem sowicie nagrodzą.

Teraz przychodzi pora tresury w polu. Zabieram młode pieski, wraz niemi jednego prowodyra starego, idę do jam, gdzie ani lisa a tembardziej borsuka niema, puszczam psy młode i zachęcam je, ażeby poszły do jamy. Zazwyczaj po pewnej chwili czekania psy idą do jamy, ale niedaleko się zapuszczają. Puszczam tedy starego prowodyra wtenczas, gdy psy młode są już w jamie, albo też u jej wejścia. Za starym idą już młode ochotnie, zapuszczają się daleko, zbuszują jamę, wytrą wszystkie kąty, i za przykładem prowodyra wracają na wierzch. Trzeba widzieć, jaka to wówczas uciecha między psami: biegają koło jam, skaczą, figlują, widocznie zrozumiały o co chodzi.

Nabrawszy po kilkorazowej próbie pewności, że młode psy chętnie do jam chodzą, wyczekuję pory, ażeby mieć pewnego lisa w jamie, zabieram psy młode ze starym prowodyrem i idę na „pewniaka“. Psy puszczone giną natychmiast w jamach, a ja w obranej pozycyi, nieopodal od jamy, skąd ma się dobry przegląd i możność strzału, z rusznicą w ręku oczekuję mykity.

Proceder nie trwa długo, kilkanaście minut najwięcej, mykita po kilku starciach z psami, nie mogąc dotrzymać placu, zmuszony uciekać z jamy, gdzie czuł się tak bezpiecznym — wypada jak z procy... Już błysnął łbem, zarzucił kitą i jak porywający się kszyk, zygzakiem ucieka. Lecz wtem strzał się rozległ, mykita zrulował, a stary majster wpadł już na odkazującego mykitę, już i młode wyłoniły się z wnętrza ziemi, i z wywalonemi na wierzch językami, w pomoc staremu zdążają. Nie powinno się wtedy psom młodym lisa odbierać, owszem, pozostawić im, aż zmęczone same przestaną go targać.

I otóż tresura w polu skończona, psy są już dojrzałe, wprawione i niezawodne.

Młodych jamników nie powinno się nigdy zabierać do lasu wolno, tylko na sforze, a to dlatego, ażeby biegając po lesie, nie zaprawiały się do gonienia zajęcy lub sarn. W tej mierze trzeba wszelkich starań dołożyć, ażeby psy młode w pierwszem i drugiem polu nie goniły w ogóle zwierzyny użytecznej, a nie nabiorą już później tej przywary.

Dobrze jest bardzo nauczyć jamniki, ażeby na rozkaz od nogi się nie oddalały, a tego każdy jamnik bardzo łatwo się nauczy.

Dotychczas mówiłem o jamnikach, które mają być użyte wyłącznie do tępienia zwierzyny szkodliwej. Lecz także do polowań na zwierzynę szlachetną jamniki użyć się dadzą. Kto jednak chce mieć dobre psy do tępienia szkodników, niech je wyłącznie w tym kierunku tresuje i używa, bo z doświadczenia śmiało twierdzić mogę, że jamniki, które używane są do gonu zwierzyny szlachetnej, nie pracują chętnie w jamach i nie są dostatecznie cięte. Łatwiej jest nawet ułożyć jamnika do gonu i pod tym względem są niezrównane, powiem nawet, że w niewielkich kniejach i w stosownem polu o wiele lepsze od psów gończych. Nie idą wprawdzie za zwierzyną tak rączo jak gończaki, lecz zato też zwierz przez jamniki goniony nie uchodzi daleko, okłada na małej przestrzeni i daje tem samem możność prędszego spotkania myśliwemu.

Polowałem bardzo dużo z jamnikami, i zdaniem mojem na zająca i sarnę w lesie rzadko kiedy może być piękniejsze polowanie jak z dobremi jamnikami. Że jednak teraz u nas polowania z psami powszechnie zaniechano, więc niema potrzeby rozwodzić się w tym kierunku.

Wszystko w świecie ma swój czas i wszystko przemija, jednak czas odradza także zwyczaje, wraca pora ponownego kwitnięcia, miejmy więc nadzieję, że i myśliwstwo wróci do utraconego uroku, odrodzą się psy i polowania z psami, chociaż odmienne w skutek zmiany warunków gospodarstwa wiejskiego. Ogołociliśmy się — to prawda — wyżłów niema! gończych niema! jamników niema! Zgroza! zabrakło nawet kundysów, i do dzika kijami pod nogi pędzonego strzelamy... Nie traćmy jednak nadziei, „psia mać“ nie zginęła — gdzieś dobre psy są jeszcze między ludźmi, zaczniemy pomału starać się i ściągać razem, a o wszelkim trudzie zapomniemy, gdy pieski zagrają... Daj Boże choć na

lat kilka przed śmiercią doczekać się tego, — i z tą nadzieją wracam do jamników.

Najdawniej u nas utrzymywana a więc najstarsza rasa jamników, były czarno-żółte podżare, o krótkim włosie, oraz czarno-żółte podżare o krótkim włosie, tylko na uszach długi włos zwity w śliczne kędziory. Te drugie były cokolwiek większe od pierwszych i nieco silniej zbudowane. Jedyne to były pieski, — nie wiem czy są jeszcze dziś gdzie u nas chowane. Rasę tę utrzymywałem u siebie i między ludźmi, rozpychałem ją gdzie mogłem, dziś jednak niema już śladu po nich i ostatnia parka przed dwudziestu kilku laty zaginęła w lasach Pacykowa.

Sięgnąłem pamięcią w ubiegłe lata, a że to człek, zaglądnąwszy do tej szkatuły, nie może się oprzeć, ażeby z niej coś nie wyniósł — pozwólcie gadule, że wyniesie z niej także opowieść o jamnikach.

Jest — o! jest już temu spora liczba latek, — a daj Boże aby było więcej — jak w ziemi Stanisławowskiej, u podnóża Karpat, poznałem człowieka, poczciwą duszę, myśliwego i lubownika piesków. Starym był bardzo w porównaniu ze mną, wówczas młodym, mogłem mu „chodzić po tabaczkę“; dziś mu jej nie trzeba, bo już dawno w mogile, a więc racz mu dać Panie wieczne królowanie...

Ów pan Wawrzyniec posiadał spory kawał ziemi odziedziczonej ojcowizny; było jej dużo, ale bardzo biedna. Zimna popielica, pszenicy nie wydała, tylko lichy zbiór owsa, a jeszcze gorszy żyta — jak to mówią w dobrym roku „brat brata rodził“. Cała ojcowizna p Wawrzyńca był to jeden szmat ziemi, nie przerwany cudzą bruzdą. Ciągnęły się wśród niego liche sianożęcie, porosłe przeważnie leszczyną, nie brak też było brzozy, jodły, świerka. a nawet tu i owdzie stał niewiadomego pochodzenia olbrzymi rosochacz-dąb o cielsku, pełnym nieforemnych guzów, z konarami dziwacznie pokręconemi.

Tu i owdzie mniejsze i większe halawy o korzystniejszem położeniu stanowiły pola orne p. Wawrzyńca; nie wiele wprawdzie rodziły, ale sporo ich było. To też przy trudach i ciężkiej pracy, nie dokupił p. Wawrzyniec chleba, i owszem, miał każdego roku coś korczyków do zbycia, zawdzięczając to swojej dbałej jak mrówka i jak mrówka pracowitej połowicy, pani Apolonii. Wprawdzie pan Wawrzyniec zajmywał się także gospodarką, ale Bogiem a prawdą raczej zawadzał i psuł szyki p. Apolonii. Na szczęście jednak sam o tem wiedział, że jest nieporadny i dawał chętnie pierwszeństwo pani Apolonii, chociaż nieraz nawarzył bigosu ku wielkiemu niezadowoleniu swej połowicy. Całe to niepowołane wtykanie nosa do gospodarki kończyło się z nastaniem polowań. Wtenczas nie wiedział już p. Wawrzyniec zupełnie, co się w domu dzieje, obchodziły go tylko psy i para karych niewielkich koników, których nie wolno było w gospodarce domowej do niczego użyć, prócz na usługi p. Wawrzyńca.

Trzymał p. Wawrzyniec kilka sfor psów gończych i 6 jamników tej rasy jaką opisałem, z kędzierzawemi uszyma. U niego też pierwszy raz te jamniki widziałem, a pomimo, że p. Wawrzyniec psów nikomu rozdawać nie lubił i nie rozdawał, i wszystkie młode zaraz topić kazał, zostawiając tylko w braku liczbowych jedno albo dwoje, udało mi się dostać od niego dwoje małych jamników tej rasy, które przez przeciąg lat dłuższych utrzymywałem.

Polowania z jamnikami były ulubioną rozrywką p. Wawrzyńca. Miał parkę takich, których wyłącznie do jam używał, inne zaś do gonu, i z niemi ubijał zające, sarny, lisy a nawet dziki. Wybierając się na polowania w dalekie góry, zabierał z sobą gończe, jamniki zaś zostawały w domu, z niemi bowiem polował tylko w bliższych kniejach, na szarem polu, nim dużo śniegu upadło. Lecz niemal każdej zimy, podczas nawału śniegów, otwierało się pole i dla jamników, gdy śnieg osadził się tęgo i z nastaniem silnych mrozów zamarzł na powierzchni tak, że nawet sarny nie zapadały i człowiek swobodnie po wierzchu chodził. Wtenczas to szły także do boju jamniki, a p. Wawrzyniec wyczekiwał tej pory z upragnieniem.

Niezmierny przestwór lasów stał otworem dla p. Wawrzyńca do polowań. — Tu p. Wawrzyniec figurował jako nadleśniczy, tam znowu jako leśniczy, a były i takie rewiry, gdzie nawet gajowego brakło, więc tam p. Wawrzyniec był w jednej osobie wszystkiem, pobierając wszędzie wynagrodzenie w wolnem polowaniu, ku obustronnemu zadowoleniu. Dochody lasów tamecznych równały się podówczas zeru; sąg drzewa miał w lesie tę wartość, jaką się za rąbanie płaciło, a rąbano tylko tyle, ażeby zaspokoić potrzebę własną. O sprzedaży drzewa opałowego nikt nie myślał, chętnie darmo dawano, byle kto poschłe pra-stare buki zabrał z lasu. Ale nie było głupich! Chłop miał swego dostatkiem — więc tylko materyał budowlany miał nieco zbytu, a zresztą las rósł, padał, a na trupach wyrastały nowe pokolenia.

W młodym moim wieku znalazłem się w tej okolicy lesistej, i osiadłem w skromnej chacie, dalekiej od wsi i od ludzi, sam jeden jak palec. Wzrosły pod niebem Podola, znalazłem się raptem w krainie gór i lasów, z któremi trudno mi było poznać się i zżyć. Ciężko było mi bez ludzi, szukałem obcowania z nimi, i tem powodowany zagościłem wśród poczciwych państwa Wawrzyńców, a odtąd było mi znośnej i obce lasy szpilkowe nie tak złowrogo szumiały dla mnie.

Dom p. Wawrzyńców był dla mnie chlebem codziennym, od którego byłby mnie i kijem nikt nie odpędził. W pustkowiu mojem cierpiałem na wieczny brak zajęcia i prawdę mówiąc nie potrzeba mnie tam było. Przylgnąłem tedy do p. Wawrzyńca, oddając się wspólnie z nim polowaniom w odpowiedniej porze i pomagając poczciwej pani Apolonii w gospodarstwie. Zasługiwałem się jak mogłem, byle mnie od siebie nie odpędzili, nie mogąc utrzymać się na mojem pustkowiu. Ale też tak gospodarnej kobiety jak była p. Apolonia w życiu mojem więcej nie spotkałem. Dziwiłem się nieraz, jak ta kobieta tyle wytrzymać mogła. W polu, w ogrodzie, w domu, latem i zimą była nieustannie czynna, a miała przytem jedną dla myśliwych nieocenioną cnotę: lubiła psy, i dbała o to, aby codziennie były nakarmione. A że pod tym względem nie mogła się spuszczać na służbę żeńską, więc zaopatrywała potrzeby piesków przy pomocy Iwana, powszechnie „durnym“ zwanego, bo faktycznie brakowało mu kilka klepek w mózgu.

Razu jednego stawiłem się u p. Wawrzyńca, aby z nim na polowanie pojechać. Koło godziny 11ej zjawił się durny Iwan z chłopem, i wybraliśmy się wozem do budy, gdzie umówiony był nocleg, ażeby nazajutrz rozpocząć wcześnie łowy.

Przybywszy do budy, rozpaliliśmy ogień i rozsiedliśmy się w około, czekając na przybycie zapowiedzianych towarzyszy, którzy już dzień przedtem polowali. Lecz w około było cicho, słychać tylko trzask iskier — nikt nie przybywa. Straciliśmy już nadzieję, czy druhowie przybędą, p. Wawrzyniec chmurzył się coraz bardziej, gdy wtem zakołatał ktoś lekko do drzwi budy. Cztery jamniki, które były razem z nami w budzie, z hałasem rzuciły się do drzwi.

Powstałem z siedzenia, postąpiłem ku drzwiom, rozpędziłem wrzaskliwą hałajstrę i otworzyłem drzwi. Przed drzwiami stał jeden gończak a drugi dochodził do budy.

— Idą nasi — zawołałem radośnie — psy już są tu. Wyszedłem na dwór nadsłuchując, jednak daremnie, zbliżających się ani widać, ani słychać. Powróciłem do budy.

— A co? — zapytał p. Wawrzyniec z rozpromienionem obliczem.

— Nie słychać nikogo, ale niezawodnie idą — rzekę — wszak psy z domu tu same nie przyszły.

Wziąłem trąbkę i wyszedłszy z budy z całej piersi wygłosiłem pierwszą i drugą pobudkę po kilka razy. Chórem zawtórowały mi gończe i jamniki, ale zanim one koncert swój skończyły, doleciał mnie głos trąbki w odpowiedź.

— Idą — rzekłem od p. Wawrzyńca — i już są niedaleko.

— No to dobrze! Dobre chłopcy. Znają oni mnie i wiedzą, żem nie zawiódł. „Słowo się rzekło, kobyła u płota“. Ho! ho! mosanie, tak być powinno!

Tu urwał p. Wawrzyniec głaszcząc sobaki, oblicze mu się wypogodziło, wrócił dobry humor, z czegom bardzo był kontent.

W kilka minut nadciągnęła drużyna myśliwych i psów, i wnet ożywiło się w budzie. Ów pytał, inny opowiadał, gwar i ciżba jak na jarmarku. Myśliwi mimo zmęczenia byli w dobrych humorach, a byli i w różowych. Pan Wawrzyniec wypogodził oblicze dowiedziawszy się, że Trepetow, ulubiona jego knieja, nie była dotąd jeszcze braną. Rezultatem dotychczasowego polowania naszych towarzyszy był kozioł, sarna i lis. Sarny wisiały na jodłach, a kita skóry lisiej wisiała z torby myśliwego, który go zabił, bo po zwyczaju wziął za gorąca skórę do torby, a ścierwo poszło w debrę.

Rozlokowano się jak było można; każdy dobywał z torby jakąś przekąskę, kołacząc o manierkę, czy nie zostało w niej co jeszcze.

— Wszystko to na powrót do torby, przyda się na jutro! — zakomenderował p. Wawrzyniec — na dzisiaj w kolacyę zaprowidowała nas moja poczciwa kobiecina. Ot, jest tu i bigos i krupnik — dodał p. Wawrzyniec, wyciągając sporą flachę.—A kiedy ona się z tem zwinęła? Poczciwe kobiecisko! karaj Boże taką każdego człowieka..

Garnek z bigosem przystawiono do ognia, a flaszka krupniku łechtała podniebienia. To też, ażeby się prędzej biesiady tej doczekać, niejeden chętnie dorzucił węgielek pod garnek, ażeby prędzej zaszypiał, a tymczasem rozmawiano i dowcipkowano żywo.

W towarzystwie byli także pp. Dobiral i Pick. Nie mało latek obaj w kraju spędzili, a jednak dowiedzieć się było trudno ich pochodzenia; raz byli Czesi, drugi raz Morawcy, a zawsze przyznawali się do pochodzenia, przeciwnego prądowi jaki wiał w opinii. — Dziwna rzecz, że przy tem wszystkiem występowali także przeciwko sobie. Przy każdej sposobności ogadywał jeden drugiego, wzbudzając niechęć i podejrzliwość.

— Obacht! teho Picka — wołał pan Dobiral — znam ja sem! to je fałszywi jak kot! Ja ho znam.

— Nech se pan z nim ne zachodzi! Zdałeka wod nieho, to je prostiak, a chitri jak lis — prawił znowu p. Pick.

Obydwaj tedy nie znosili się, i przy każdej sposobności, w oczy czy poza oczy, dokuczał jeden drugiemu.

Owóż i tym razem w budzie nie obeszło się bez docinków i kosztem wspólnym, nie szczędząc się nawzajem, dowcipkując, bawili obaj Czesi towarzystwo.

Wreszcie bigos zaszypiał i kieliszek z krupnikiem obiegł z rąk do rąk nie mijając Dobirala i Picka, którzy przyszli już do budy w bardzo różowych humorach. A że obaj bracia Czesi czy Morawcy zajęli miejsce obok siebie, więc przyszło między nimi wreszcie do takich docinków i czynnych objawów niechęci, że w końcu musieliśmy p. Dobirala wytransportować za drzwi.

Całemu towarzystwu odebrała humor ta niesmaczna przeprawa. Przesiedzieliśmy jeszcze z godzinkę koło ognia na grubo wyścielonej choinie i wreszcie układliśmy się do snu.

Zaledwie szarzeć zaczęło, wszyscy byliśmy już na nogach, rozniecono ogień, pożywiliśmy się, nakarmiliśmy psy i zaledwie dzień się zrobił już ruszyliśmy w pochód „na Trepetów“. Po drodze zastąpiliśmy miot jeden, puszczono psy gończe, które wkrótce zagrały, lecz niestety sarny przeszły bez strzału. Psy się uniosły i ostatnie ich echo zamarło za górami. Zeszła się drużyna myśliwych, a p. Wawrzyniec taką radę podał:

Psy się uniosły, nie wrócą prędko, szkoda nam czasu, zdążajmy na Trepetów. Nim gończaki powrócą, podłożymy jamniki.

I w niespełna pół godziny byliśmy na miejscu.

(Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

Lwów d. 27. marca 1894.

(Z Towarzystwa lisowickiego).

Zimowe polowanie tegoroczne w Lisowicach zmuszeni byliśmy odłożyć dobrze po za termin, ustanowiony zwyczajem w naszym regulaminie, z powodu deszczu, słoty i niemożliwych dróg, które w końcu stycznia ruszanie się po lesie i całą uciechę myśliwską do absurdum doprowadzały. Ile razy Towarzysze wraz z prezesem swoim na czele zaglądali na barometr, ile krajowych a nawet zagranicznych kalendarzy przewertowali chcąc bodaj jakąś możliwą prognozę pogody a raczej względnej zimy wyprowadzić, pióro moje opisać nie jest w stanie. Deszcz lał, drogi coraz więcej się psuły i coraz częściej spotykały nas przycinki i sarkastyczne zapytania, czy zamierzamy tegoroczne polowanie na słonki urządzić? Przysłowie powiada, że Opatrzność czuwa nad dziećmi i pijakami, ale to co się tego roku stało, widocznie wskazuje, że musi być jakaś specyalna Opatrzność, czuwająca

nad cierpliwymi i spokojnymi myśliwymi. Barometr spadł był gdzieś na „trzęsienie ziemi“ termometr koło dziesięciu stopni ciepła wskazywał, kiedy wraz z łowczym naszym postanowiliśmy zwołać Towarzyszy do Lisowiec. Widocznie, że święty odkomenderowany do tego rodzaju spraw na ten tylko znak czekał, bo naraz spadł obfity śnieg przy kilkustopniowym mrozie i cała przyszłość polowania w różowej nam się przedstawiła barwie. Po przeszłorocznym prawdziwym mordzie dzików, raporta tegoroczne bardzo się nam wydały mdłemi, ale to jednym jest więcej dowodem, że owych 85 dzików, które przeszłego roku mieliśmy na rozkładzie podczas jesiennego i zimowego polowania, byli to przybysze z gór, wypędzeni ze swojej ojczyzny ostrą i zawalną zimą i brakiem żeru, którego wyjątkowo wiele znaleźli w dolinach. Prawdziwą okrasą polowania był wilk, „niegodliwy rabuśnik“ jak nasz strażnik Parandziej tego rodzaju zwierzynę nazywa, który od pewnego już czasu włócząc się po naszych kniejach, wielkie spustoszenia pomiędzy rodem sarnim poczynił, i którego po mistrzowsku w miocie objechanego udało się nam na strzał dostać. W małą chwilę po odezwaniu się sygnałowej trąbki, wilk, przeczuwając coś niedobrego, wynosił się w góry i natrafił na samym końcu linii a prawie na flance kolejno na dwóch myśliwych (nomina sunt odiosa), którzy głośnemi strzałami starali się mu dowieść, że nie tędy droga. To też biedny wilk na takie głośne ale nieskuteczne przyjęcie zwrócił się wprost w przeciwną stronę i z błyskawiczną szybkością przebiegłszy całą szerokość miotu, a w nim kilka bardzo głębokich parowów, wypadł z wywieszonym językiem na naszego gościa w zastępstwie, Franciszka Jędrzejowicza, pod którego celnemi strzałami brzydkiego ducha wyzionął. Z kozłami powiodło nam się bardzo pięknie, na rozkładzie bowiem było ich 42, z tej liczby zaś przypadło 18 sztuk jednego dnia, a 17 drugiego. Ogólny wynik pięcio-dniowego polowania przedstawia się jak następuje: ilość miotów 35, wilk 1, dzików 10, lisów 11, kozłów 42, sowa uralska 1, razem sztuk 65, strzałów 119. *Stefan Szembek.*

Wola Małnowska obok Krakowca 1. kwietnia.

(**Rzadki gość — słonki, dziki i męki Tantala.**)

Dnia 16. b. m. wyjechałem u siebie w pole parokonnym wózeczkiem, w tej ogórkowej dla myśliwych porze, naturalnie bez strzelby. Zatopiony w niezbyt wesołych kombinacyach agronomiczno-finansowych, nie uważałem na otoczenie. Nagle z tej zadumy wyrwał mnie okrzyk furmana: „O, co tu kuropatw!“ Zdziwiony tak licznem zgromadzeniem kuropatw o tej porze, spojrzałem we wskazaną stronę i ujrzałem w odległości 30 do 40 kroków stadko kilkunastu ptaków, spoczywających na piaszczystym pagórku, które rzeczywiście robiły wrażenie stada kuropatw. Podjechawszy jednak bliżej, wziąłem te ptaki za turkawki lub gołębie, lecz gdy się zerwały, rozpoznałem dokładnie po locie i głosie, że to były pustynniki. — Jestem tego pewny i nie mylę się, bo znam dokładnie wygląd, lot i głos tego ptaka z ostatnich jego odwiedzin u nas, a zresztą każdy, komu tylko trochę znaną jest krajowa ornitologia, wie, że nie ma u nas ptaka, któregoby można wziąść za pustynnika. Cieszyłbym się bardzo, gdyby spostrzeżenia z innych stron kraju doniosły co o pustynnikach; miałbym jeden dowód więcej, że się nie mylę.

Piaszczysta nasza okolica sprzyja wymaganiom tych egzotycznych gości, a w nadzwyczaj wczesnem ich ukazaniu się trzeba czerpać nadzieję, że może raczą się zagnieździć. Obecnie uważam pilnie sam i ludziom kazałem śledzić, czy nie spostrzegą gdzie pustynników; gdybym zebrał jakie nowe szczegóły nie omieszkam Szan. Redakcyi donieść.

Tegoroczna wczesna wiosna sprowadziła nam również wcześnie tak zawsze gorąco wyczekiwane słonki. Już w drugiej połowie marca zaczęły ukazywać się te długodzióbe podróżniczki, a w ostatnim tygodniu przed Wielkanocą ciągi były mimo chłodu i wiatrów znakomite. Święta przepędziłem w Dobromilskiem i korzystając z uprzejmego upoważnienia c. k. Zarządu domen w Dobromilu, udałem się dnia 31 marca na ciąg do Hubic, słynnych w naszej okolicy z obfitości słonek. Wieczór był wietrzny i mroźny i nie rokowałem sobie wielkich nadziei; chociaż jednak powróciłem bez rezultatu, to co mnie spotkało, przeszło wszelkie moje oczekiwania.

Miałem strzelbę Teschnera Nr. 3 i w jednej kiesze n kilkanaście ładunków tegoż systemu i kalibru z drobnym śrutem, a w drugiej kilka ładunków lankastrowych Cal. 16 z śrutem Nr. 2. Jak wiadomo ładunki lankastrowe Cal. 16 wchodzą dokładnie do teschnerek Nr. 3, a ponieważ nie miałem grubych nabojów do teschnerki, wziąłem tedy ze sobą kilka ładunków lankastrowych od wypadku.

Około kwandrans na siódmą (czas kolejowy) nadleciała mi pierwsza słonka i poszła spudłowana, w chwilę po niej druga i trzecia, dla odległości niestrzelane. Ciąg zaczynał się dobrze. Trwało to wszystko może dziesięć minut od chwili strzału do pierwszej słonki, gdy w przeciwległych gąszczach usłyszałem łamanie. Byłem pewny, że to sarny i stoję spokojnie spoglądając w stronę zbliżającego się ciągle trzasku. Wtem na małą polankę przedemną wychodzi duża pojedyncza sztuka czarna. Nie byłem ani chwilki w wątpliwości co do rodzaju tego przybysza; nie podejrzywając mojej obecności, począł w odległości najwyżej 40 kroków załatwiać różne potrzeby toaletowe. Wytalał się w kałużce, powycierał się o kilka brzózek, słowem zachowywał się tak jak stary sybaryta u siebie w szlafroku. Korzystając z tych toaletowych zajęć dzika, wsunąłem do prawej lufy mojej teschnerki lankastrowy ładunek ze śrutem Nr. 2 w nadziei, że dzik żerując zbliży się o tyle, iż będę mógł tentować strzału, z pewnem prawdopodobieństwem skutku. I proszę sobie wyobrazić moje położenie! Stoję jak trusia za gęstą jodełką, z każdą chwilą robi się coraz ciemniej, dzik buchtuje koło mnie coraz bliżej, a nad głową przelatują co chwila to pojedyncze słonki, to rozkochane parki. Nigdy na ciągu takiego „anlaufu“ nie miałem — lecz oblizuję się tylko do słonek, a całą moję uwagę zwracam na coraz bliżej podchodzącego dzika. Mogło być najwyżej kroków 15 odległości, gdym uznał nareszcie, że przyszła chwila stosowna do pociągnięcia za cyngiel. Z całym spokojem wymierzyłem w komorę i już w myśli wyobrażałem sobie co nastąpi z chwilą strzału, — gdyż o rezultacie pomyślnym chociaż śrutem, przy tak bliskiej odległości wątpić nie mogłem, — gdy niestety suche kłapnięcie i równocześnie łomot zmykającego dzika strąciły mnie z całej wysokości mych marzeń. A o taką bagatelkę chodziło!...

Dzika dyabli wzięli, słonek najmniej 8 puściłem dla niego, nikt więc z braci myśliwych się nie zdziwi, że wróciłem do domu w mocno kwaśnym humorze, unosząc jako całą zdobycz tego roskosznego wieczoru, katar w najpoprawniejszem wydaniu, który mi odtąd wiernie, acz bez mego uznania towarzyszy.

I jeszcze drugi podobny wypadek.

Polowaliśmy w cztery strzelby z pogonką na słonki 27 marca w zawsze miłych i gościnnych Czyszkach u hr. Maryanów Łosiów. Pierwszy miot wzięliśmy około 4—5 godziny po południu, gdyż potem mieliśmy zostać na ciągu. Zachowywaliśmy się jak zwykle na słonkach nie bardzo poprawnie; jedni stali na środku linii, drudzy pod drugą ścianą, mówiliśmy, paliliśmy cygara, bo jak wiadomo, słonki są pod tym względem niewybredne. Sąsiadem moim na linii po lewej ręce był pan Albert Mniszek. — Braliśmy pierwszy miot, zrąb kilkoletni. Wtem słyszę łomot w krzakach i widzę, jak mój sąsiad składa się i jak w odległości 10—20 kroków przechodzi obok niego cztery ładne dziki. Mój sąsiad strzela do nich numerem 10-tym śrutu, lecz naturalnie bez skutku i dziki poszły, a my z nosami na kwintę przyznawaliśmy się sobie wzajemnie, że każdy z nas miał kulę, ale... w kieszeni.

Podobne wypadki z dzikami powtarzają się co roku podczas polowań na słonki, w jesieni i na wiosnę, i pozostawiają zawsze myśliwemu, którego ta przygoda spotka, pewną porcyę złego humoru. Ażeby tego uniknąć, radzi farmakopea łowiecka pewne arcanum, o którego skuteczności wątpić się nie godzi. — Arcanum to posiada trzy lufy, z których jedna zwykle sztućcowa, i zowie się drylingiem.

Alex. Przedrzymirski.

Skała w marcu 1894.

(Szkoła pływania zajęcy).

W numerze 1 „Łowca“ z roku zeszłego zamieścił pod powyższym nagłówkiem p. S. Kisielewski korespondencyę, podając do wiadomości, że zające w Kudryńcach założyły „szkołę pływania“. Trudno uwierzyć! Ludzie czasem „pływają“ ale zające? — Ha, no, przekonamy się.

Nie pomnę ile lat temu — mniejsza o to! — szedłem letnią porą a jakich 30 kroków od łożyska młynówki wzdłuż jej brzegu. — Idąc tak wypłoszyłem zająca. Wystraszony szarak pogonił wprost ku młynowi. Stanąłem wyczekując, czy zając zmieni kierunek, zwracając się od wody, czy też zechce młynówkę przeskoczyć. Nie długo czekałem. Zając dotarł do brzegu nie wstrzymując się w pędzie i odbił się jak piłka, a znać było, że nie pierwszy raz w ten sposób dostawał się na drugi brzeg młynówki. Niestety, tym razem nie udało się biedakowi! Zamiast na brzeg, wpadł do wody, co widząc pogoniłem nad brzeg. Zając płynął przy przeciwnym brzegu młynówki; dogoniłem go tedy i szedłem z biegiem wody. Pragnąłem zająca uratować, lecz skąpać się nie miałem ochoty. Młynówka była szeroką nad trzy metry, brzegi miała strome, laską więc dosięgnąć zająca nie mogłem. Co chwila oglądałem się za jakim dłuższym kijem, lecz nie było go na podorędziu. Zając tymczasem płynął z wodą, nie odbijając się od brzegu. Gdy już było niedaleko młyna, pogoniłem wyprzedzając zająca, w nadziei, że wydobędę go przy opadzie wody na „łotoki“. Dobiegłem w czas, ukląkłem na desce przy zastawce, chwyciłem się jedną ręką zastawki z drugą nachyliłem się ku wodzie — lecz niestety i tu było za wysoko. Zająca uniosła woda tuż pod mą ręką wprost pod koło młyńskie. Widząc to pogoniłem z przeciwnej strony młyna, a zaledwie tu stanąłem, zobaczyłem z szumiącej wody wynurzającego się zająca. Dostałem go tu z łatwością, ale niestety... już topielca nieżywego.

Owóż zająca owego obserwowałem przez kilkanaście minut bardzo pilnie i nie zauważyłem ani razu, ażeby starał się był z wody na brzeg wydostać. Owszem, przestraszony dał się unosić żywiołowi, z którym nie umiał walczyć. Jakaż szkoda, że niebył w „Kudryńcach w szkole!“ Gdyby był sztukę pływania posiadał choć cokolwiek, byłby się z pewnością wyratował. Widocznie nie umiał pływać, a przestraszony nie próbował się ratować, bo żeby w ten sposób z umysłu żywot swój samobójczo chciał zakończyć, przypuszczać nie można.

Widząc podówczas ową śmierć biednego zająca w płynnym żywiole, do pływaków zaliczyć rodu tego nie mogłem i nabrałem przekonania, że jeśli zając zaskoczony wodą nie dostanie gruntu skokami — utopić się musi.

I oto powód mego sceptycyzmu, gdym odczytał korespondencyę p. Kisielewskiego, którego znałem jeszcze z lat młodzieńczych, kiedy o łacinie myśliwskiej nie było mowy. Dziś, gdy go po latach 30tu z łysiną po niżej uszu drugi raz poznałem, zapytałem sam siebie: „Co mu się stało? Czy „łacinę“ przyswoił? Czy stawszy się łatwowiernym, zasłyszaną bajkę za dobrą monetę podaje?“ Jakoż przy pierwszem spotkaniu się z nim rzekłem:

— Czytałem twoją korespondencyę, wcale udatna, jednak bardzo ważną kwestyę ominąłeś.

— Cóż takiego? — zapytał wyokrągliwszy na mnie oczy.

— Zapomniałeś dodać, że zające w Kudryńcach ryby łowią i niemi się żywią...

Żachnął się i zawołał:

— Jakto? i ty mnie posądasz?! — I przytaczając inne fakta, których w korespondencyi swej nie umieścił, zobowiązał się udowodnić świadkami, że zające dobrowolnie przez Dniestr przepływają.

Gdym słuchał tych wywodów, przyszło mi na myśl inne prawdziwe zdarzenie, które pomimo, że lat temu sporo, nie ulotniło się również z pamięci Kisielewskiego.

Odbiegnę więc na chwilę od przedmiotu.

Było sobie dwóch przyjaciół od serca — oba byli młodzi, oba mieli żyłkę myśliwską, oba byli z jednej miejscowości. To też wyrwawszy się na dłuższe czy krótsze ferye szkolne, pokazywali się w domu tylko wieczór i rano, a dzień cały gonili światami, szląc śmierć każdemu przydybanemu ptaszkowi i zajączkowi.

Razu jednego, a było to w miesiącu lipcu, uchodząc przed gniotącą w domu tróją, przyniesioną z ostatniej klasyfikacyi, wybrali się nasi przyjaciele na polowanie błotne. Wzdłuż rzeczonego błotka przepływał potoczek, który rozlewając się miejscami tworzył małe jeziorka, oczeretem zarosłe. Kaczek bywało na tych jeziorkach dosyć, ale dopiero w porze jesiennej, o tej porze zaś można było spotkać kilkanaście par kszyków. To też przyjaciele nasi, nie obiecując sobie spotkania z kaczkami, wybrali się na kszyki. Jeden z nich postępywał prawym, drugi lewym brzegiem potoczka grzmiąc, (choć nie z wielkim skutkiem) do każdego porywającego się kszyka. Idącego po prawej stronie nazywać będę w opowiadaniu niniejszem A. zaś idącego po lewej B.

Postępując wciąż naprzód, mijali przyjaciele nasi pierwsze z rzędu jeziorko, gdy wtem porwała się nad wszelkie spodziewanie kaczka. Padły dwa strzały i rozległ się jeden huk. Kaczka spadła, lecz przyjaciel A. nie słyszał strzału B, podobnie jak ten nie słyszał strzału A.

— Padła! — zawołał A.

— Padła! — powtórzył B.

I obaj postąpiwszy na suchszy nieco brzeg, poczęli zrzucać obuwie i część ubrania, by w braku psa aportować kaczkę. Przyjaciela A. zdziwiło gotowanie się do aportowa-

nia przyjaciela B., lecz w oczach tegoż malowało się także to samo zdziwienie. Myśli obu ogarnął jakiś niepokój, a oraz chęć wyprzedzenia; to też rozebrawszy się zaledwie do połowy, obadwaj podążyli w jeziorko za kaczką. A. na krok prędzej zdążył do kaczki i chwycił ją z przed wyciągniętej ręki B.

— Daj tu! to moja kaczka — rzecze B.

— Co? twoja? Ha, ha ha — zaśmiał się A.

— Osioł jesteś! Ja ją zastrzeliłem, więc moja.

— Ty, cymbale? To łżesz, alboś zwaryował.

I tak od słowa do słowa rozżarli się przyjaciele i byłoby do bitki przyszło, gdyby nie woda, która chłodziła krew ich rozognioną. Wreszcie klnąc i złorzecząc jeden drugiemu, wyszli z wody każdy na swój brzeg, a kaczka została w posiadaniu przyjaciela A.

Powykręcawszy nieco mokrą bieliznę, jęli naciągać pozostawione na brzegu ubranie, a gdy ich ogrzały promienie słońca, zawrzała na nowo walka na przezwiska i pogróżki. Wreszcie B. wrzasnął w ostatniej pasyi:

— Jak nie przestaniesz, to strzelę!

— A strzelaj ośle! — odparł A.

— Powiedziałem — krzyknął B. i w tej chwili, chwyciwszy strzelbę wypalił. Gdy jednak ujrzał, że A podskoczył po strzale na łokieć od ziemi, owładnął go strach i żal i odwróciwszy się w przeciwną stronę, jął umykać. Lecz wtem dogonił go przyjaciel A. całym nabojem śrutu w głowę, szyję i plecy.

— Oj! oj! — krzyknął B. waląc się w dwoje złamany na ziemię.

Widząc to A., zostawia strzelbę i kaczkę i wali w ubraniu przez jeziorko na ratunek przyjacielowi.

— Co ci jest?

— Konam! zabiłeś mię! — krzyczy B.

— I ja kaleka! Mam obie nogi odstrzelone! — woła A., waląc się na ziemię obok przyjaciela.

— Oj! oj! — stęka B.

— Ojojoj! — wtóruje mu przeciągle A.

I duet ten trwał dość długo nie tyle z bolu, ile z niepewności jeden o drugiego. Wreszcie jakby na dany znak obaj podnieśli głowy, milcząc wpatrywali się w siebie, a potem jakby na dany znak, obaj powstali na równe nogi, i znowu upłynęło kilka sekund milczącego wpatrywania się w siebie. Wreszcie pierwszy zabrał głos B.

— Już mi niedługo do śmierci — rzekł grobowym głosem.

— A ja wieczny kaleka, obie nogi postradałem.

— Jakżeś tu przyszedł? — pyta B.

— A jakżeś się podniósł? — pyta A.

— Bo ja wiem? Ostatni to wysiłek przed zgonem.

— I ja wiem tylko tyle, żem kaleka na wieki, ale żal mi się ciebie zrobiło. i doszedłem aż tu — rzecze A. sugając rękoma po nogach. — Stało się, tyś rozpoczął walkę, ale co będzie, to będzie, ratujmy się teraz. Pokaż szyję, może śruty nie głęboko i dadzą się wyjąć.

— I tobie śruty nie musiały w kość powłazić — mówi B.

Rozpoczęły się tedy wzajemne oględziny, a gdy się pokazało, że drobny śrut ptasi wlazł ledwo pod skórę, jednemu na karku drugiemu pod kolana, przystąpiono do wzajemnej operacyi wyciskania śrutów, którą niespełna w godzinie ukończyli.

— Jak Boga kocham, lubeńko, nic ci nie będzie — woła uradowany A.

— I tobie nic — wtóruje B.

Odzyskali humor i chęć do dalszego polowania, i ruszyli na dalsze błotka.

— Zobaczysz, że będzie masa kszyków — rzecze A — tylko słuchaj, nie dołuj jak we mnie, ale wal prosto, jak masz walić. Tylko o tem, co się między nami stało, nikomu ani słowa, zgoda?

— Zgoda.

Jakoż dotrzymali tajemnicy, ale choć świerzb po śrutach ustał i rany się zabliźniły, fakt sam nie wywietrzał z głowy i przy każdem spotkaniu się przyjaciele przypominali go sobie.

— Dam ci krajcar — zagadnął raz B przyjaciela — jeżeli potrafisz tak wysoko podskoczyć jak wtenczas.

— Dam ci dwa — mawiał A — jeżeli wywrócisz takiego kozła jak wtenczas!

— I od czegożeś tak zrulował jak zając? Mam cię odtąd za zająca i tak cię będę nazywał. Zając!

— A ty skakun — podchwycił B. — zgoda?

— Niech ci będzie zgoda — odpowiedział A. — Zając.

— Skakun! skakun!

I od tej pory A. nazywał B. „zającem“, a ten A. „skakunem“.

Przypominając fakt ten korespondentowi o „szkole pływania zajęcy“, mówię:

— Może miałeś na myśli owego zająca, a obmówiłeś niewinne stworzenie. Nie przeczę i każdy się na to zgodzi, że w konieczności pogoni zając i do wody, ale przez Dniestr, do rzepaku i na powrót i to dzień w dzień, to chyba pływał ten, od którego to słyszałeś.

Kisielewski obstawał twardo przy swojem, a wreszcie mówi:

— Poczekaj, jeszcze tak rychło nie umrę, i udowodnię ci to świadkami.

— Sto lat lubeńko żyć nie będziemy; zabraknie na to i tobie i mnie życia.

Ale losy chciały inaczej.

Minionej jesieni, w drugiej połowie listopada, polowaliśmy w Skałkach wzdłuż brzegów Zbrucza, gdzie zwykle o tej porze zając przesiaduje. Wśród czterech walecznych nie brakło i Kisielewskiego. Mieliśmy wielkie nadzieje, lecz niestety, jednego zaledwie zająca wypłoszyliśmy z pomiędzy kamieni. Ale i ten pomknął daleko i uszedł bez strzału. Śledziliśmy go wzrokiem na otwartem polu. Dobiegł do roli, zakołkował, poszedł znowu kawałeczek, skluczkował i usiadł w roli. Zrazu widać go jak na talerzu, pomału zaczął być coraz mniejszym, wreszcie wcisnął się i już tylko jak punkcik widnieje.

Wnet zgromadziła się nasza czwórka walecznych i układamy plan strategiczny, aby bądź co bądź tego małego zająca a wielkiego figlarza sprzątnąć z tego świata. Rada w radę, zapaliliśmy cygara i czekamy, żeby się zając dobrze w roli zasiedział, a potem okrążamy go z czterech stron. Którędyby pomknął, musi być strzelany, a kto chybi, ma posłać za karę 2 guldeny na Towarzystwo oświaty ludowej. Plan sporządzony i przyjęty.

Zaledwie zaczęliśmy zająca obchodzić, jeszcze w takiej odległości, że go siedzącego widać nie było, wstał zajęczyna i poszedł w kamienisty brzeg nad Zbruczem, któregośmy jeszcze obsadzić nie zdołali. Stanęliśmy tedy na nowo, zaczęliśmy kiwać głowami i śledzimy wzrokiem czujnego szaraka. Widzimy go przed sobą jak na talerzu, zakołkował,

podumał i znowu idzie, przeszedł wzdłuż skałkami, zeszedł nad sam brzeg Zbrucza, posuwa się dalej wzdłuż brzegu i już go zaledwie widać. Nad samą wodą był kawałek gęstej łoziny. Zając dotarł aż do tego miejsca i wszył się w łozinę.

— No, teraz go weźmiemy — rzekłem — do wody nie pójdzie. Jak go w czterech obstąpimy, musi paść!

— Kto wie — odzywa się Kisielewski. — Mnie się zdaje, że on ma zamiar puścić się przez wodę.

I wtem ujrzeliśmy znowu zbiega. Wyszedł z łoziny, małem tempem uszedł wzdłuż rzeki jakie 100 kroków, zakołkował, podumał i zwróciwszy się ku rzece z największą flegmą spuszcza się do wody. Zdumiałem. Zając przepłynął na drugą stronę, strzepał sobą i poszedł dalej, ku wielkiemu zadowoleniu Kisielewskiego, który wyokrągliwszy na mnie oczy, zawołał:

— A co? a co??

Woda w miejscu, gdzie zając przepływał, była głęboką, tak, że przy jednym i drugim brzegu zając pod skokami miał około dwóch metrów do dna, a szerokość rzeki wynosi około 20 metrów.

Wprawdzie zająca tego wyruszyliśmy dwa razy, jednak nie nacieraliśmy nań tak gorąco, ażeby czuł się zmuszonym do ucieczki przez wodę. Byliśmy od niego w takiej odległości, że nawet nawoływania słuchów jego dochodzić nie mogły, a zresztą miał przestwór pól przed sobą i mógł obrać rozmaite drogi do ucieczki, nie potrzebując się przeprawiać przez rzekę. Widocznie miał on już taki zamiar z góry powzięty i byłby się także bez naszego nacierania przez Zbrucz przeprawił. Obecnie więc nietylko że korespondencyi p. Kisielewskiego wierzę, ale żywię przekonanie, że zające nie w samych Kudryńcach posiadają sztukę pływania, lecz wszędzie nad rzekami przyswajają sobie ten kunszt i oddają się mu nie będąc do tego pościgiem zmuszone. *Ago.*

Wrocław 25. marca.

(Pierwsze słonki).

Nie zawsze sprawdza sie znane niemieckie prawidło słonkowe: „*Oculi, da kommen sie*“, nie zawsze ciąg owych tyle wyczekiwanych długodziobów naszych trzyma się ściśle kalendarza, ba nawet często nie pyta się o znanego ze swych wróżb pana Falba. Zazwyczaj niespodzianie, jednego pięknego poranku lub wieczoru, przybywa do nas wędrowna długodziobów armia, i po kilkodniowym, a czasem tylko kilkogodzinnym wypoczynku, wędruje dalej na północ.

Czytając w gazetach wiadomości o pierwszych słonkach, nie mogłem się już prawie doczekać owej corocznej wiadomości, że wreszcie także na znanym i od dziecięcych lat ulubionym rewirze p. hr. X. w Y, gdzie corocznie na słonki zapraszany bywam, niecierpliwie wyczekiwane długodzioby zawitały. Jakoż zabrawszy tak zwaną „*Federleichte*“, która mimo cal. 12. i mocnych luf, niezupełnie 5 funtów waży i ze Suhl od znanej renomowanej firmy „Thieme i Schlegelmilch“ pochodzi, oraz ulubioną wyżlicę krótkowłosą „Brzytwę“, wyruszyłem 19 marca b. r. na moją tegoroczną wyprawę na słonki, skoro mi tylko zatelegrafowano, że forpoczty wędrownej armii długodziobów już się pojawiły. Lekka flinta ułatwia znacznie strzał nietylko do słonki, ciągnącej przy niepewnem świetle wieczornem, lecz także i do wystawionej, a wyżeł, dobry aporter, jest na ciągu słonek niezbędnym. Wyczekiwano mnie teraz tem bardziej, że chodziło o zaspokojenie ciekawości, jak młody legawiec, który w pierwszem polu będąc na przeszłorocznych próbach zdolności prawie cudów dokazywał*), ale nigdy jeszcze do polowania na słonki nie był używanym, popisze się w owych znanych bagnach i błotach, gdzie często nawet i wytrawne, doświadczone wyżły nie mogły wyszukać zbarczonych słonek. Otóż i pies i flinta popisały się nieźle. Zaraz po przyjeździe ubiłem 19 marca wieczorem na ciągu 5 słonek. Dnia następnego śnieg pruszył nieco i zimno się zrobiło, wyszedłem więc już w południe na słonki i ubiłem na buszowanego 7 słonek; wieczorem padło na ciągu 12 strzałów — rezultat 6 słonek. Ostatniego dnia strzelałem do 8 słonek, z których z powodu wichru mocnego tylko 5 ubiłem. Rezultat zatem niezły, lecz w porównaniu do dawnych lat, gdym jako prymaner jednego wieczora do 20 słonek strzelał, nie zbyt świetny.

Następne daty ciągu pierwszych słonek w Niemczech może zainteresują czytelników „Łowca“. Pierwszą tegoroczną słonkę widział p. Gräff, znany kynolog, w Bingen nad Renem 28 lutego a ubił pierwszą 1 marca. W Badeńskiem (Jestetten) ubito 2 marca 2 słonki. W Alzacyi (Harskirchen) widziano pierwszą 2 marca, a 3 marca ubito jednę. W Getyndze ubito 9 marca pierwszą sztukę i widziano 6—8 sztuk. W Branderburgii ubito pierwszą 12 marca, na Szląsku pod Lignicą także pierwszą 11 marca, w Księstwie Poznańskiem ubito pierwszą 10 marca. Chociaż znane przysłowie o „pierwszych kotach“ i do pierwszych słonek często zastosować można, to przecież myśliwy musi być „au qui vive“, gdyż zdarza się także dość często, że główna armia długodziobów w trop za awangardą przybywa i po kilkugodzinnym odpoczynku dalej spieszy. *Julian Neyman.*

*) „Brzytwa - Hoppenrade“ zwyciężyła 18 razy na próbach ubiegłego roku w Niemczech, zdobyła pomiędzy tem wielkie niemieckie derby i pobiła słynne ze swych zwycięstw pointery. Mamy nadzieję, że p. N. nam Brzytwę we Lwowie tego roku na Wystawie pokaże. *Redakcya.*

KRONIKA.

Pawilon leśno-łowiecki na placu powszechnej Wystawy krajowej jest już na ukończeniu. W braterskiej harmonii zbiorą się tam okazy leśnictwa i łowiectwa i dadzą, jak mamy nadzieję, imponujący obraz naszych lasów i łowów. Nie powinni wszakże myśliwi nasi do ostatniej chwili ociągać się z przysyłaniem trofeów, choćby to nie były rzeczy nadzwyczajne, bo nietylko okazów wystawowych potrzeba, ale także przedmiotów dekoracyi, któreby całości charakterystyczny i swojski wygląd nadały. Broń dawna, starożytny rynsztunek myśliwski i siecie dawne są bardzo pożądane. Starostwa przyczyniły się wiele do podniesienia charakterystyki i malowniczości tego działu, nade-

sławszy mnóstwo broni i przyrządów kłusowniczych ze wszystkich okolic naszego kraju. Obok pawilonu, w pobliżu szkółek leśnych i pysznych okazów naszego leśnictwa, znajdą również miejsce okazy roślin przydatnych do remiz łowieckich i wybornych na karmę dla zwierza łownego jak *Barbarea Upland*, *Polygonum cuspidatum* i w. innych. Towarzystwo lisowickie przygotowuje listę strzałową za cały dwudziestoczteroletni okres swego istnienia, która niezawodnie obudzi podziw myśliwych.

Odyńca, ważącego 140 kilogramów, przysłał na Wystawę J. E. hr. Włodzimierz Dzieduszycki. Padł on od strzału hr. Tadeusza Dzieduszyckiego, w znanej z obfitości dzików knici Poturzyckiej. Sekcya łowiecka przygotowuje go na Wystawę w charakterystycznej pozycyi siedzącej, w jakiej dzik zwykł przyjmować ataki psów.

Dział rybacki znajdzie godne pomieszczenie na Wystawie krajowej w specyalnem *aquarium*, którego budowa jest w toku. Będzie to urocza grota pełna stalaktyków i tajemniczych mroków z przepływającym przez nią wodospadem, mieszcząca około 30 dużych skrzyń oszklonych, w których znajdą się wszystkie krajowe ryby rzeczne i stawowe. Poza grotą, na terenie, mającym dwie kondygnacye, mieścić się będą stawki, przedstawiające wzorowe gospodarstwo rybne, pierwszy z pstrągami, dalsze z karpiami, sandaczami, linami itp. Przy końcu groty wznosi się malownicza chata rybacka, kryta trzciną, wyścielona rogozinami, obwieszona włokami i więcierzami. Będzie to przybytek stałej wystawy rybackiej, mieszczący w sobie okazy ryb wypchane, wędki, saki i wszelkie przyrządy łowne, dozwolone i zakazane, mapy rewirów rybackich w Galicyi, broszury i atlasy odnoszące się do ichtyologii krajowej, szeregi szkodników stawowych i rzecznych itd.

Cały dział rybacki urządzają pp. Naimski, Habicht, Fischer, Mikiewicz, Zontak i architekt Perosz pod patronatem kraj. Towarzystwa rybackiego w Krakowie.

Hr. Józefowi Potockiemu sprzyjało szczęście w wycieczce na wyspę Ceylon. Z Colombo otrzymaliśmy telegram, że hrabia ubił 2 słonie i 5 bawołów. Oczekujemy z upragnieniem bliższej relacyi z tej wyprawy, która niezawodnie zainteresuje cały świat myśliwski.

Wychodzące w Colombo gazety angielskie *Ceylon Observer* i *Times of Ceylon* donoszą pod d. 12 marca o tych łowach co następuje:

„Hrabstwo Józefowie Potoccy powrócili w sobotę 10 marca do Colombo z kilkutygodniowej myśliwskiej wyprawy do południowej prowincyi wyspy, którą urządzał znany myśliwy Soult.

„Hrabiemu Potockiemu polowanie świetnie się udało. Ubił w ciągu tych kilku tygodni 2 słonie, 5 dzikich bawołów, 5 jeleni i wielką ilość drobniejszej zwierzyny. Przytrafiła się też hrabiemu następująca, nader wzruszająca przygoda.

„Podszedłszy stado słoni, złożone z pięciu sztuk nad brzegiem jeziorka, wybrał największego i strzelił do niego, lecz, niestety, nie powalił go na miejscu. Słoń, ogromna, jak się później pokazało, samica, zwrócił się natychmiast i rzucił się na hrabiego, który o parę kroków strzelił drugi raz, lecz i ta kula nie zdołała słonia zatrzymać. Rozjuszona bestya, rycząc od bolu, silnie postrzelona, byłaby naszego myśliwego zmiażdżyła, gdyby tenże w sam czas w bok nie skoczył i porzucając strzelbę, ucieczką się nie salwował; w tejże chwili zaś omal że nie wpadł pod drugiego słonia, który, wyskoczywszy z gąszczy, o pół kroku od hrabiego Potockiego przebiegł i omal go w swym pędzie nie stratował. Słoń zwrócił się na strzelca Soulta i mimo jego dwukrotnych wystrzałów, dwa razy go atakował. I ten tylko szybką ucieczką zdołał ujść przed rozwścieczoną bestyą.

„Hrabina Potocka, stojąca o kilkadziesiąt kroków opodal, była świadkiem tej gorącej chwili. Słoń nastąpił na strzelbę porzuconą przez hrabiego i zdruzgotał ją na kawałki. Na szczęście, straciwszy z oczu myśliwych, ustąpił z pola walki, zniknął w gąszczu i przepadł mimo licznych kul, które go trafiły.

„Pogoda sprzyjała cały czas myśliwym w ciągu ich wyprawy, która ciągnęła się od Hambantoly aż do granic Batticaloa".

Pierwszą słonkę w okolicy Przemyśla spotkano dnia 9 a pierwszą na ciągu widziano 15 marca.

Dużego niedźwiedzia ubił chłop w Zielonej pod Nadwórną. Myś, ugodzony kulą z tyłu po za ucho, padł na miejscu od jednego strzału.

Przesyłka jeleni. W pierwszych dniach marca przechodziła naszemi kolejami przesyłka 30 sztuk żywych jeleni ze stacyi Stamfa pod Preszburgiem, zamówiona na Kaukaz. Jelenie pochodziły z dóbr hr. Karolyi i mimo długiej drogi bardzo dobrze wyglądały.

Dwa wilki zawitały niedawno do lasu Prosickiego we wschodnich Prusach; słyszano po nocach ich wycie, lecz mimo obław nie udało się ubić żadnego.

Zupełnie czarnego młodego zająca obronił od atakujących go wron w rewirze Zienken pod Müllheim gajowy Ambiehl. Szarak, który uszedł zdrowo napadom wronim, jest całkiem czarny i ma na czole białą łysinkę. Zaiste niepospolity szarak. Wiadomość tę sprawdzają także znani myśliwi z Villingen w Badeńskiem.

Projekt ustawy o kartach polowania, przedłożony na ostatniej sesyi sejmowi dalmatyńskiemu, został odrzucony. Uchwalono jedynie ustawy tyczące się czasu ochrony zwierząt i ograniczające łowy na ptactwo.

Wystawy i próby zdolności psów będą tej wiosny w Niemczech bardzo liczne. Próby zdolności wyżłów odbędą się: 3 i 4 kwietnia pod Kolonią nad Renem, 6. kwietnia w Bernburgu, 16. kwietnia pod Wrocławiem, 20. i 21. kwietnia w Monachium, 17. i 18. kwietnia w Goddelen nad Renem, 19. kwietnia pod Berlinem, 23. kwietnia w Bydgoszczy, 25. kwietnia pod Dreznem. Dnia 5. maja odbędzie się niemieckie derby pod Barby.

Wystawy psów będą miały miejsce: 5—7. kwietnia w Amsterdamie, 26 kwietnia w Dreznie, 27. i 30. kwietnia w Dyseldorfie, 6. i 7. maja w Monachium, 8. do 10. maja w Kolonii, 16. do 19. maja w Erfurcie, 19. do 21. maja w Dortmundzie.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.